

Logotyp 	Nazwa instytucji Muzeum Ustrońskie	
Tytuł jednostki / publikacji / fotografii „Zaranie Śląskie”. Rok VIII. Zeszyt 2		
Ilość stron oryginału 66	Ilość skanów 67	Liczba plików publikacji 67
Autor Wacław Bandura i inni	Wydawnictwo / zakład fotograficzny Towarzystwo Ludoznawcze w	Skan okładki 
Miejsce wydania Cieszyn	Rok wydania / Data powstania 30 czerwca 1932 r.	
Sygnatura ---	Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) czasopismo	
Wymiary (wys x szer) 25 x 19,5 cm	Stan zachowania ---	Charakterystyka skanowanego obiektu cykliczne polskie czasopismo regionalne dotyczące historii, kultury, literatury oraz etnografii i folkloru Śląska Cieszyńskiego i Górnego Śląska; 6 artykułów, kronika, materiały, recenzje; druk: Drukarnia „Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra” w Cieszynie
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce) od XIX w. do początku XX w., Paweł Musioł, Józef Lompa, Józef Ignacy Kraszewski, Gustaw Morcinek, Paweł Kubisz, Ludwik Musioł, Franciszek Popiołek, Ludwik Brożek, Andrzej Cinciała, Paweł Stalmach, Jan Śliwka, Ludwik Klucki, Jerzy Mrowiec, Śląsk Cieszyński, Górny Śląsk, Pszczyna, Cieszyn</p> <p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuźnia, letnicy itp.) literatura ludowa, folklor, czasopisma literackie polskie, ludoznawstwo, kultura, historia, literatura polska, poezja, szkolnictwo polskie na Śląsku Cieszyńskim, recenzje, etnografia</p>		
Prawa autorskie ---		

ZARANIE ŚLAŃSKIE



ROK VIII

ZESZYT 2



Obrazek, nalepiony na pierwszej stronie okładki niniejszego zeszytu, przedstawia Ślązaków, tańczących „Trojoka“. Malował go prof Stanisław Ligoń, jako ulotkę do swego widowiska p. t. „Wesele na Górnym Śląsku“, opracowanego wspólnie z Ai. Kubickim. Drukarnia i zakład litograficzny K. Miarki i Sp. w Mikołowie, woj. śląskie.

SPIS TREŚCI:

<i>Paweł Musioł</i> : Józef Lompa w świetle swych listów do J. I. Kraszewskiego	65
<i>Gustaw Morcinek</i> : Burmistrzanka Gryzelda	74
<i>Paweł Kubisz</i> : Szli se zbuje	83
<i>Ludwik Musioł</i> : Drewniana warownia średniowieczna na Górnym Śląsku	84
<i>Franciszek Popiołek</i> : Z dziejów szkolnictwa polskiego w Cieszynie	88
Uwagi dra Andrzeja Cinciały o P. Stalmachu. Wydał i wstępem zaopatrzył L. Brożek	97
<i>Kronika</i>	116
<i>Materiały</i>	118
<i>Recenzje</i>	122

Redakcją kieruje Komitet:

Wacław Bandura, Paweł Bocek, Ludwik Brożek, Franciszek Czapła, Alojzy Gembała, Jerzy Hadyna, Emanuel Imiela, Rudolf Kubalok, Stanisław Ligoń, Alojzy Milata, Gustaw Morcinek, Paweł Musioł, Wacław Olszewicz, Franciszek Popiołek, Jan Przybyła, Stanisław Sowa, Jerzy Szczurek.

Prenumerata wynosi rocznie 8 zł wraz z przesyłką pocztową, w Czechosłowacji 32 Kcz.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: CIESZYN, UL. STALMACHA 14.

P. K. O. Warszawa 180.524. — P. U. C. Praga 30.693.
(Konto Tow. Oszczędności i Zaliczek w Cz. Cieszynie.)

Poszczególne egzemplarze zamawiać można: w Księgarni Katolickiej w Katowicach, w księgarniach „Dziedzictwa“ i „Kresy“ w Cieszynie, oraz w księgarni Macierzy Szkolnej w Czeskim Cieszynie.

Manuskryptów nie zwraca się.

Wydawca: Towarzystwo Ludoznawcze w Cieszynie.

Redaktor odpowiedzialny: Jerzy Szczurek w Cieszynie, ul. Bielska 36.

Druk wykonany czcionkami Drukarni „Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra“ w Cieszynie.

ZARANIE ŚLĄSKIE

ROCZNIK VIII. W CIESZYNIE, 30 CZERWCA 1932.

ZESZYT 2.

Parweł Musioł.

Józef Lompa

w świetle swych listów do J. I. Kraszewskiego.

Polska praca badawcza nad przeszłością Śląska, ciekąca do niedawna wążutką strugą, przekroczyła już obecnie okres swego niemowlęstwa, wchodząc z wolna w stadium rozkwitu. Szczególną pieczę cieszy się najbliższa, ale też najpiękniejsza epoka dziejów Ziemi Nadodrzańskiej, epoka jej odrodzenia narodowego¹⁾. Związane są zaś te dzieje więcej niż gdzieindziej z nazwiskami działaczy, — odrodzenie narodowe bowiem obejmowało na długi czas nieliczną tylko rodzimą elitę, raczej nieliczne jednostki, które w warunkach wprost anormalnych dla pracy narodowej rozpałały na wyjałowionym gruncie świadomości narodowej Śląska ogniska polskości. Nic dziwnego zatem, że dzieje odrodzenia narodowego na Śląsku to przedewszystkiem dzieje jego pionierów, — dopiero pod koniec 19 i 20 wieku zachodzą tu zjawiska zbiorowego porywu i akcji (jakkolwiek już w czas „wiosny ludów“ spotykamy na Śląsku wiece), ukoronowane heroizmem powstań śląskich. Stąd polski dorobek naukowy o Śląsku to głównie „obrazy Ślązków wspomnienia godne“. Słowem literatura biograficzna²⁾.

Postacią, która może najwięcej dziś skupia na sobie zainteresowania badaczy

¹⁾ Nietylko uczuciowe stanowisko odgrywa tu rolę — niedawność, obfitość wielka materiałów, pamiętniki, potem fakt, że dużo pionierów ostatniego etapu odrodzenia jeszcze żyje — oto źródła dalsze tej pieczy naukowej.

i literatów i skupiała, jest skromny nauczyciel z Lublinieckiego, Józef Lompa. Już Damrot, jeden z czołowych poetów literatury odrodzenia narodowego, jako student składa w imieniu studjującej we Wrocławiu młodzieży śląskiej zmarłemu codopiero Lompie hołd, prawiąc w ostatniej strofie wiersza „Do Józefa Lompy“³⁾:

Takeś nam przykład zostawił stałości,
Zapału, męstwa niezachwianego,
I wzniecił iskrę drzemiącą miłości
Znów do języka, od ojców wziętego.

Obok licznych artykułów i mniejszych rozpraw na uwagę zasługuje wydana w 1912 r. monografia tego pisarza, pióra Konst. Prusa, napisana doskonale, choć całkowicie, o co trudno, nie wyczerpująca bogatego tematu. Poważną pozycję do tej literatury dorzucił dr Kazimierz Dobrowolski, bibliotekarz Biblioteki Jag., drukując nakładem Muzeum Śląskiego w Katowicach nieznane listy Lompy do Kraszewskiego⁴⁾ i zaopatrując je obszernym i gruntownym studjum o piśmien-

²⁾ Poważne miejsce w Rocznikach Twa P. Nauk na Śląsku zajmują życiorysy. Podyktowane to nietylko chęcią uczczenia świeżo zmarłych działaczy, są biografje i starszych.

³⁾ Konst. Damrot, Z niwy śląskiej.

⁴⁾ Listy Józefa Lompy do J. I. Kraszewskiego z lat 1860—1862. Wydał i wstępem poprzedził Kazimierz Dobrowolski. Katowice 1931.

nictwie śląsko-polskiem starszem, czasach Lompy na Śląsku i Lompie⁵⁾).

Na marginesie tych listów, biorąc je i całość pism Lompy za podstawę, pragnę rzucić garść uwag do jego charakterystyki, wreszcie zużytkowując zawarty w nich materiał historyczny, nakreślić parę rysów do oblicza ówczesnego Górnego Śląska.

Znajomość działalności i pism Lompy wyjaśnia nam najzupełniej jego popularność u badaczy przeszłości Śląska. Postać to bowiem niezmiernie ciekawa, — nietylę dzięki perypetjom życiowym, — życie Lompy nie obfitowało w nadzwyczajności, upływało szaro, — ile raczej strukturze duchowej, działalności twórczej i praktycznej, jaką rozwijał na przestrzeni lat od 1820 do 1863, roku swej śmierci, na Ziemi Śląskiej.

Niezwykła indywidualność twórcza na warunki, w jakich żył, i wykształcenie, zdumiewające ogromem pracy, wysiłku, woli i wszechstronności, wreszcie wielkości dorobku, jaki zostawił po sobie. Poeta o szerokiej skali motywów i bogactwie nastrojów (pomijam wartość formalną, ale tu już grały rolę inne względy!), powieściopisarz, dobrze trafiający sposobem przedstawienia do prostego czytelnika, historyk przeszłości Śląska, pierwszy polski autor jego dziejów, historyk kultury, a nawet literatury tej dzielnicy, monografista miast, pierwszy polski geograf Śląska, ludoznawca wprost wybitny, — najwybitniejszy wśród licznych śląsko-polskich folklorystów, bibliograf, przyrodnik, tłumacz poetów niemieckich, ludowych powieściopisarzy, tłumacz dzieł naukowo-popularnych i autor oryginalnych z dziedziny kultury gospodarczej (nawet o wściekłości psów pisał!), sam praktyczny przyrodnik i o-

⁵⁾ Ponieważ wstęp p. Dobrowolskiego w tym zakresie dotyczy samych listów, jest natomiast odrębnym studjum, omawiam go osobno.

grodnik, archiwista, pedagog, mogący się poszczycić paru tłumaczeniami i oryginalnymi dziełkami do użytku szkoły, redaktor kancjonałów, na dodatek trochę kompozytor, wreszcie redaktor z czasów „wiosny ludów“ i lat najbliższych, publicysta ruchliwy, drukujący na łamach pism polskich i niemieckich na Śląsku i w prasie wszystkich trzech zaborów, wypełniał Lompa tą twórczą działalnością wszystkie zaniedbane, leżące odłogiem dziedziny życia na Śląsku⁶⁾. Typowy to polihistor, ostatnie bodaj najwybitniejsze ogniwo tego łańcucha polihistorów śląskich, w jakich Śląsk obfitował w dobie humanizmu i w wieku 17. — Oto jedna z przyczyn, dla których Lompa budzi tak żywe zainteresowanie. — Ale ten polihistoryzm i ta literacka płodność, przeniesiona na inny grunt, budziłaby ciekawość tylko dla samych siebie, — na Śląsku mają głębsze uzasadnienie: Lompa wygładzał i mościł ścieżki dla potężniejszego ruchu umysłowego i narodowego, jaki tu po nim jak skutek po przyczynie nastąpił, ożywił tradycję środowiska. Uczuciowy więc motyw naszych zainteresowań dla Lompy i jego twórczości leży w tem, że w Lompie widzimy ojca narodowej literatury polskiej na Śląsku.

*

Praca literacka Lompy nosi w sobie w wielkiej mierze tendencje popularyzatorskie, oświatowe, — oświatowo-organizacyjnej działalności oddawał się praktycznie na niwie śląskiej, zwłaszcza w czasie „wiosny ludów“, — z podobnych zresztą pobudek wyrasta dążność Lompy do spopularyzowania tak współczesności Śląska, jak i jego przeszłości i kultury w społeczeństwie polskim i niemieckim. A wiadomo, że w tym czasie, pomimo tendencji różnorodnych ze stro-

⁶⁾ Paweł Musioł, Rzut oka na literaturę śląsko-polską, Pamiętnik Warszawski, wrzesień 1930.

ny polskiej w kierunku zwrócenia uwagi na prastarą dzielnicę polską⁷⁾, głucho było o Śląsku w Polsce i to tak głucho, że w roku 1849 wyrwywają się J. Łepkowskiemu takie słowa na łamach „Czasu“: „Wołamy o Polskę od morza do morza, a dwieście lat mija zgorą, jak o Szląsku zapomnieli Polacy, chociaż ten Szląsk nie za morzem, ale za Mysłowicami i Kętami⁸⁾“. — W sprawie skierowania oczu społeczeństwa polskiego na Śląsk rozwinął Lompa wprost zdumiewającą ruchliwość i pracowitość. Na tem polu ilościowo najwięcej z wszystkich Ślązaków działał: w prasie wszystkich zaborów zabiera głos w kwestjach śląskich, zmuszając wielu na zajęcia się niemi; pozostaje w żywym i wszechstronnym stosunku z ruchem umysłowym w Polsce i jego najwybitniejszymi przedstawicielami, jak Kraszewskim, Libełtem i innymi, bierze nawet udział w literackich i naukowych konkursach. Co więcej, kontakt utrzymuje z przedstawicielami nauki obcej — niemieckiej i czeskiej⁹⁾. Nic dziwnego więc, że został członkiem kilku umysłowych towarzystw polskich, jak Twa literackiego w Gostyniu, Twa rolniczego w Krakowie, Twa Przyjaciół Nauk w Poznaniu i Twa rolniczego w Królestwie Polskiem.

Jak widać, wyprzedzał w dziedzinie propagandy Śląska i śląszczyzny innych, nie mówiąc już o tem, że osią całej prawie jego działalności pisarskiej są motywy i zagadnienia regjonu śląskiego. Jest zatem

⁷⁾ W okresie Księstwa Warszawskiego. Na Śląsk w sposób dobitny zwrócił uwagę ks. Hugo Kołłątaj. Patrz K. Dobrowolski, Uwagi wstępne o piśmiennictwie polskiem na Śląsku. Listy Józefa Lompy do J. I. Kraszewskiego, str. XXXII i XXXIII.

⁸⁾ Jak wyżej.

⁹⁾ Z uczonym czeskim fizjologiem, prof. uniwersytetu wrocławskiego Purkyněm, założycielem Twa słowiańsko-literackiego w Wrocławiu (1863).

jakby poprzednikiem współczesnych re-regionalistów śląskich, pragnących regionalizm śląski wyprowadzić z ciasnych brzegów prowincjonalizmu w brzegi ogólnonarodowego ruchu umysłowego. Ta działalność propagandowa obok pracy oświatowo-narodowej pasuje Lompę na patriarchę odrodzenia narodowego Górnego Śląska tak w zakresie kultury, jak i polityki polskiej. Oto druga przyczyna, dla czego Lompa dziś wciąż modny.

*

Prace literackie Lompy noszą oczywiście ślady warunków, w jakich żył. Brak środowiska kulturalnego i wyższego wykształcenia, niedostatków, czego usilna praca i czytanie usunąć nie mogły, sprawiły, że wartość tych twórców, poza ludoznawczemi, tak z punktu widzenia literackiego, jak i naukowego, jest dziś mała. Niemniej jednak, jako zjawisko twórcze na tle swej epoki i to na Śląsku, jest, jak już powiedziałem, niezmiernie ciekawy. Naturalna rzecz, że jako natura tak wielostronna, — taki Kraszewski śląski, wreszcie jako człowiek, łączący w sobie z epoki — przedwiośnie ruchu odrodzeniowego i czasy po r. 1848, rozwijał się Lompa dość zygzakowaną linią i mieścił w swej psychce dużo różnorodnych, niezawsze zharmonizowanych cech.

Rysami dominującymi były wszechstronność, pracowitość i wola, brakowało głębszych namiętności, któreby Lompę mogły uczynić trybunem. Stąd pochodzi, że żyłki politycznej nie odczuwał w sobie, był natomiast świetnym oświatowcem i literatem. O tym braku reformatorskiego pierwiastka w piersi Lompy świadczy również jego religijność, szczerą wprawdzie, ale niegłęboką i nieporzytą wewnętrzną walką. — Z takiego nastawienia z naturalną koniecznością wypływało, że Lompa w sprawach polityki w znaczeniu ścisłym głosu nie zabierał, irredentystą polskim na Śląsku nie był, walczył natomiast jako pedagog, literat i o-

światowiec o język polski na Śląsku i jego prawa. Był lojalistą typowym, zresztą na tle ówczesnych stosunków Śląsk na inny typ zdobyć się jeszcze nie mógł, —



Józef Lompa około roku 1860.

na dążności irredentystyczne późniejszych narodowości na Śląsku nie było tu jeszcze wtedy odpowiednich warunków i oparcia w społeczeństwie.

Jednakże późniejsze urzędowe szkany, pozbawienie go posady, dalszy rozwój jego osobowości zmieniają w tym o-

brazie niejedno. Myśl Lompy u schyłku życia częściej poczynają zaprzętać sprawy ideowe. Na tę późniejszą fazę jego życia i twórczości rzucają dużo światła jego listy do Kraszewskiego. Odbijają w sobie z całą bezpośredniością tę postać ciekawą w jesieni życia, łamaną życiem, ale dojrzewającą w głębiach duszy. Obok załamania, mówiących o starości i starczości Lompy, dziwna energia duchowa i bogactwo nowych pomysłów, obok narzekania na los, a nawet niesympatycznych napomknienia, że praca dla idei nie przyniosła mu materialnej korzyści, filozoficzne spojrzenie na rzeczy i pogłębiona religijność. Poza temi wartościami dużo danych do jego biografii i dużo materiału do dziejów żywiołu polskiego w tych czasach na Śląsku.

Listy pisane są w latach sześćdziesiątych (1860—1862) do Kraszewskiego, jako redaktora Gazety codziennej i Gazety Polskiej w Warszawie, zawierają obok wierszy, przyczynków do rzeczy śląskich i korespondencji ze Śląska, wynurzenia, myśli i narzekania osobiste, dotyczące spraw literackich i własnej biedy, więc materiał różnorodny, z którego redaktor wyławiał do swych pism odpowiednie wiadomości. Rękopisy wykorzystanych drukiem korespondencji zaginęły, niedrukowane w liczbie 35 pozostały. Te właśnie opracował i wydał Dr Kaz. Dobrowolski dodawszy znamieny list Lompy do Libelta. Najciekawsze są te, które dorzucają do życia pisarza nowe wiadomości biograficzne i te, które odzwierciedlają duchowy jego wizerunek w tych latach, zatem filozoficzno-etyczny nastrój duszy i ideowo-polityczne przeobrażenie. Stanowią one ostatnią fazę ewolucji duchowej pisarza, przedstawiającą, jak już innemi słowy powiedziałem, z jednej strony załamanie zdolności twórczych, z drugiej pogłębioną ideowość tak w znaczeniu ściśle osobistym, jak również politycznym. Lompa bowiem, jak większość działaczy śląskich z okresu odrodzenia narod., świadomość narodową

zdobył jako człowiek dorosły i tę świadomość z biegiem czasu wypracowywał i pogłębiał, w miarę jak począł się wyzwalać z pod sugestji obcych kłamstw o Polsce i jak sam dzieje Polski począł przeżywać wewnątrz. Często, i tu właśnie miało to miejsce, pochop do zapoznania się z Polską dawały Ślązakom czarne barwy, jakimi w szkołach niemieckich smarowali dzieje Polski i jej kulturę nauczyciele Niemcy. Tą zaś różdżką czarodziejską, która sprawiała, że źródło miłości wytryskał z serca Ślązaka ku Polsce i zmywał mu z oczu błoto kłamstw, była literatura polska, ta jej siła fatalna, co sienkiewiczowskiego latarnika wygnała z cichej przystani na dalszy wędrowniczy żywioł. Ale posłuchajmy, co prawi o tem w liście do Kraszewskiego ten pierwszy nawrócony przez literaturę polską Ślązak: „Dyrektor seminarjum, ks. kanonik, naówczas sławny kaznodzieja w kościele katedr(alny), rodem z Wrocławia, zakazał nam do siebie po polsku mówić. Szkalował on bezustannie polską mowę i wszystko co polskim jest. Opowiadał on dziwaczne rzeczy o Polsce, nas zaś nazywał Wasserpolen, narzecz nasze żargonem, szwargotaniem. Niemcom wmawiał, że Polacy żadnej literatury nie posiadają. Takie potwarzy oburzyły mnie; postanowiłem więc badać prawdy i objaśnić nią moich polskich współuczniów. W tym celu, lubo bardzo szczupłe pieniądze środki miałem, poszedłem do antykwary kupować książki polskie.

Udało mi się to za tanie pieniądze. Nabyłem tłumaczenie Telemaka przez ks. Jabłonowskiego, wydanie lipskie; Nocy Junga; Przysłowia i mowy potoczne Maks(ymiljana) Fredro i t. p. Jednego razu, przechodząc się po ogrodzie, czytałem Telemaka. Zbliżył się ku mnie Dyrektor. „Cóż mój syn czyta?“ „Telemaka!“ „Co! Czy znasz dobrze po francusku?“ „Ja czytam po polsku“. Zadumał się wielce, zwłaszcza, że wtedy dzieło to nie było jeszcze na niemieckie przetłumaczone. To było początkiem do gorliwego polubienia języka polskiego“.

Zdolności swe i siły oddawał Lompa pracy nad podniesieniem kulturalnym, a nawet gospodarczym polsk. ludu na Śląsku, dalej pracy naukowej nad jego kulturą i przeszłością. Akcentów agresywnej polityki polskiej daremnie u Lompy szukać aż do schyłku jego życia, jakkolwiek brał żywy udział w ruchach lat 48 i jakkolwiek coraz mocniejsze poczęły go wiązać więzy z współczesnym mu życiem polskim. Znaczący je głównie w listach do Kraszewskiego. Bardzo pod tym względem znamienne przedstawia się dołączone do listu z 6 czerwca 1862 wiersz p. t. Przestroga do przeciwników narodowości polskiej w Śląsku pruskim, z powagą i mocą wyrzucająca im nieszlachetne i niezgodne z przyrodzonym prawem dążności do wytrzebień języka polskiego na Śląsku. Między innymi na poparcie swego oburzenia taki daje argument:

Jeśli cię cieszy piękny głos słowika,
Że w nim uczucie jego uczuwasz,
Jeśli cię głos ten wdzięczny przenika,
Czemuż wrodzony szarpiesz język nasz!

Wyucz słowika. Niech śpiewa kwadryle.
Rzekniesz: „Już to nie jest serca głos,
Już to nie śpiewa w przyrodzonej sile.“
Otóż! patrz i pociągnij się za nos.

Podobną myśl zamknął w liście z 6 kwietnia 1862 z okazji omówienia w nim kazania ks. Purkopa nad grobem „apostofa trzeźwości“ na G. Śląsku, ks. Ficka: „Nie wiercie, jak obłudni Niemcy twierdzą, że mowa nasza całkiem zepsuta, tylko niezrozumiałym jargonem jest.“ Równie lapidarnie określa ten stosunek Niemców do polskości na Śląsku, kiedy donosi Kraszewskiemu o mającym rzekomo wychodzić polskim tygodn. w Wrocławiu: „Ale nie przyjdzie do tego, dodaje sceptycznie i z żalem, bo wszystko co polskie, chociażby najlepsze było, to za nic poważane bywa“.

Świadczą te cytaty wymownie o udziale Lompy w tej walce o gwara polsko-śląską, jaka się rozgorzała pod koniec 18 w., w pełni rozgorzała w pierwszych dzie-

siątkach 19 w.¹⁰⁾. Równocześnie tak w tym wierszu, jak i w cytatach dźwięczą już te idee i poglądy na język, które w rok później wywołą się potężnym patosem z ust K. Miarki, w jego głosie wołającym na puszczy górnośląskiej, w tej wspaniałej apolo-gji ludu śląskiego i jego polskiej mowy. Ponadto pozostają te wypowiedzi w związku z coraz rosnącymi dążnościami germa-nizacyjnymi, co w dziesięć lat później zabi-ją tu ostatecznie i brutalnie szkołę polską.

*

Znajomość dziejów Polski i Śląska, będących w wielkiej mierze zmaganiem się dwóch ras, znajomość ruchu narodowego w Czechach, toczącego się na podłożu ideologii pansłowiańskiej, doznane przykrości, potęgują jego niechęć do Niemców, wreszcie idea pansłowiańska, nurtująca wówczas i w społeczeństwie polskim, pogłębiają nietylko świadomość narodową Lompy, — więcej, każą mu być na gruncie śląskim przedstawicielem tej idei. Mówi o tem do-bitnie krótkie zdanie w liście z 21 września 1861: „Największymi nieprzyjaciółmi (Słowian) są Niemcy“ i rozprawa „O wzajemności Słowian“, którą stopniowo przesyłał na ręce Kraszewskiego.

Na tle tej pogłębionej ideowości zrozumi-ały staje się ból Lompy z powodu głuszy narodowej, jaka nastąpiła na Górnym Śląsku po reakcji roku 1848, i ostre sądy, rzucane na pewne warstwy ówczesnego społeczeństwa śląskiego. Jakkolwiek bowiem reforma szkolnictwa, przeprowadzona w duchu polskim przez ks. Bogedajna w latach 1848—1858, dawała podłoże pod szerszy ruch narodowy, śpiączka narodowa była tu wprost przygniatająca. Dość wspomnieć, że od 1853 do 1868¹¹⁾ nie wydawano w tej dzielnicy ani jednej gazety polskiej, podczas gdy w latach 1848 i 49 było ich kilka. „W Cieszynie, powiada z gorzkim bólem w

¹⁰⁾ Interesuje się Lompa zasięgiem mowy polskiej na Śląsku i przesuwaniem się jej granic.

¹¹⁾ Rok powstania Zwiastuna katolickiego.

liście z 5 września 1861, wzmaga się nowa założona czytelnia dla ludu pospolitego, tylko my polscy, pruscy Szlązacy w letargu zostajemy.“ Czyniąc wzmiankę o drukarni (list z 7 stycznia 1861) w Bytomiu, gdzie drukują pismo niemieckie „Beuthener Tages-Telegraph für Stadt und Land“, wyraża żal, „że się u nas żadne polskie czasopismo pojawić nie chce“.

Winą za ten stan obarczał mimo swej gorliwej katolickości, kler ówczesny, jak wynika z listu do Libelta z dnia 20 stycznia 1863, napisanego niedługo przed śmiercią: „Na uprzejme zapytanie, jak zamysłamy obchodzić uroczystość piastowego stolecia, z bolesnem westchnieniem odpowiedzieć muszę: Pożal się Boże, nijako! Któżby u nas o tem rozmyślał? Księża nasi prawią polskie kazania i słuchają Polaków spowiedzi, ale sami nie czynią żadnego postępu w języku polskim. Są oni na wszystko obojętni, co się narodowości polskiej tyczy. Księża nasi nie kupują polskich kalendarzy ani nie utrzymują Gwiazdki Cieszyńskiej, Nadwiślanina lub Przyjaciela Ludu, mówiąc, że się przy niemieckich obejdują. Są to indywidua zniemczone i germanizm zasilające“¹²⁾. Zresztą już o dzie-

¹²⁾ List do Libelta rzuca snop światła na ostatnie chwile Lompy, wypełnione mimo choroby intensywną pracą, wreszcie ujemne charakterystyczne cechy tak twórczości Lompy, jak i szerszych zjawisk narodowo-politycznych w życiu śląskim. Przytaczam znamieny ustęp: „Zgadzam się na to to z W(ielmożnym) Panem, żeby korzystnie dla mnie było wygotować broszurę na obchód tysiąclecia. Przygotowałem najstaranniej dwie powieści i chciałem się zająć historycznym opisem dobroczynnych fundacyj szląskich Piastów, jako to świątyń, klasztorów, szkół, szpitali i t. d. Posłałem w tem celu dwa rękopisma na ręce dra filozofji, pana Rzepeckiego w Poznaniu. Otrzymałem od niego 14 b. m. następującą odpowiedź: „Rękopisma Pańskie chciałem pozbyć i oddałem w tem względzie komisji odnośnej w Towarzystwie św. Wincentego, odpowiedziano mi wszakże, że cecha języka jest zbyt odrębną, zbyt, że tak powiem, prowincjonalną,

sięć lat wcześniej podobnie jak Lompa oskarża tak kler jak i nauczycielstwo za obojętność dla spraw polskich szlachetny ks. Bogedajn w liście, datowanym z Opoli (26 kwietnia 1853 r.) do P. Stalmacha w sprawie Gwiazdki Cieszyńskiej: „Kler i stan nauczycielski niemieckich się chwytają pism, a lud nasz pospolity — o ile nie zniemczały — wcale nie czyta. Tu i ówdzie znajdują się ludzie, których język

szląską, niżby powieści te żywcem, bez przerobienia drukować można. Przerobieniem zaś takim zająć się nie może. Po takiej odprawie nie odważyłem się iść do księgarni, którzyby może jeszcze większe stawiali trudności. Na konkursie p. Zakrzewskiego nie wiem, czyby otrzymały zwycięstwo“. Jest to, zaprawdę, bardzo dziwaczne, bezasadne, jednostronne, jednym słowem przesadzone zdanie. Nasza górnośląska mowa nie różni się od krakowskiej. Ja zdołałbym kilkanaście arkuszy szląsko-polskich idjotyzmów uzbierać! Kiedy co piszę, unikam wszelkich prowincjonalizmów, dlatego ziomkowie moi mówią, że górnym, onym niezrozumiałym stylem pisze. Komuż tu właśnie dogodzić? Na tysiąclecie ważnym zdarzeniem było, gdyby z okolic Baborowa jedno, ode mnie drugie, a od Międzyborza lub Olawy trzecie pisemko się pojawiło. Czwarte, warszawskim lub kaliskim stylem określone, jużby cechę szląską traciło.

Na pracę konkursową napisałem już 15 arkuszy na czysto, lecz po powyższej wiadomości opadły mi skrzydła i ręce moje. Niech sobie Towarzystwo św. Wincentego samo co chce pisze, a innych w pokuszenie nie zwodzi. Języki odrębne zostały przez zesłanie Ducha świętego uświęcone. Dłaczegóż w Poznaniu nas górnoślązaków lekce poważają i nami gardzą. Dobra chęć za uczynek obstawa. Lepszy rydz jak nic. *Pokaże się i tu za czasem, że kamień, który porzucili, stał się kamieniem węgielnym.*“

Z listu wynika, że jednak Śląsk, choć tylko przez wspomniane prace Lompy, wziął udział w obchodzie tysiąclecia. Warto by w odnośnych archiwach odszukać wspomniane przez Lompę powieści, — zobaczylibyśmy, o ile ten tak charakterystyczny żal Lompy jest uzasadniony.

polski obchodzi, a tym udzieli wiadomości o Gwiazdce¹³⁾.

Uwagi patryjoty, historyka i etnografa nie mogły ujść takie zjawiska, jak kurczenie się polskiego stanu posiadania na północy Górnego Śląska i towarzyszące mu przejawy niesympatycznego patryjotyzmu świeżo zgermanizowanych Polaków. „W Koźlu traci się polski język. Zapomnieli tam, że Koźle król polski założył, kiedy ze Zbigniewem walczył. Zdziwiłem się, jacy tam są nieprzyjaciele Polaków. Kiedy tam czytają, jak surowo z nimi sobie postępują, cieszą się nad tem koźlanie. Potrzeba cierpliwości, mało było, że bym nie był kosturem w koło uderzył. Boli to bardzo szkalerowania niesłusznie słyszeć“ (17 kwietnia 1862). Owocem systemu szkolnego, pobytu młodzieży polsko-śląskiej w uczelniach niemieckich jest albo obojętny stosunek inteligencji rodzimej do spraw polskości Śląska, albo też wprost wrogi, germanizacyjny wielu jednostek, co do ostatnich czasów spotykało się na Śląsku¹⁴⁾. O zaistnieniu już tego wstrętnego przejawu w czasach Lompy świadczy wtrącona nawiasowo wzmianka w liście z 13 września 1861: „Znałem ja na Górnym Szląsku pewnego plebana, z rodziców polskich pochodzącego, który Polaków nie inaczej, tylko połykami nazywał, jakto niektórzy szydersko Morawców niemrawcami nazywają.“

Słychać w tych listach Lompy pierwsze salwy tej wielkiej wojny z żywiołem polskim na Śląsku, która do krańcowości dojdzie po kampanji prusko-francuskiej. Z jednej strony jaskółki wynaturzeń dusz polskich, przejawiające się w inderentyzmie narodowym, w wrogiem ustosunkowaniu się poszczególnych etnograficznych Polaków do polskości, skurczenie się granicy

¹³⁾ Listy ks. Bogedajna do Stalmacha mogłem przeczytać dzięki uprzejmości kol. L. Brożka, który je przygotowuje do druku. Ukażą się w następnym nrze Zarania.

¹⁴⁾ Dziś spotyka się to jeszcze w postaci aktywnej na Śląsku pod zaborami.

językowej (choć w głębi kraju, w Woźniakach na przykład, „mieszkańcy po niemiecku nie umieją“), zwężenie zakresu języka polskiego w szkole, z drugiej coraz mocniej zaciskająca się na szyi górnoślązaka obroża pruskiego systemu żandarmeryjnego (świadczą o tem ciągle śledzenie i ustawiczne napastowanie Lompy, donosicielstwo, tropienie za gazetami polskimi etc.).

Pomimo braku politycznego nerwu, przygnębienia i biedy, które mu odejmowały możliwość pracy organizacyjnej, Lompa usiłuje stać się osią procesu wyzwania się duszy śląskiej. Posiadał, jak zobaczymy, pełną świadomość, że tkwi mocno w ruchu narodowym i pod ten ruch kładzie podwaliny¹⁵). Jakkolwiek sam stanowi najwyższy szczyt ówczesnej elity rodzimej na Śląsku Górnym, więcej, szczyt odosobniony, bo nawet w przybliżeniu nikt się tutaj z nim mierzyć wówczas nie mógł, nie był mu obcy żaden przejaw, choćby najdrobniejszy, budzenia się narodowego tej dzielnicy. Można powiedzieć, że już na czasy swoje na Śląsku umiał patrzeć z perspektywy historycznej, miał świadomość zasług innych w pracy nad ludnością śląską, kult dla wybitnych i wycucie, jakie miejsce należy się im w dziejach jej odrodzenia! — Pozostaje w kontakcie z skromnymi wydawcami książek nabożnych i kancjonarów, jak z młynarzem Piekoszewskim, sztygarem Lisem¹⁶), wreszcie z początkującym w pracy na niwie śląskiej Ligoniem¹⁷). Z li-

¹⁵) Nie chodzi tu o jego pracę kulturalną i narodową, reprezentowanie Śląska w społeczeństwie polskim, łączność z najwybitniejszymi przedstawicielami polskiego Śląska, — to wszystko fakty znane, chodzi o wypowiedzi samego Lompy na temat jego roli dziejowej na Śląsku, ustosunkowanie się do tych przedstawicieli, wreszcie świadomość, że się rozpoczęła nowa karta, polska, w dziejach Śląska.

¹⁶) Kaz. Dobrowolski. Wstęp do listów.

¹⁷) Pochop do zadzierzgnięcia bliższej znajomości z Ligoniem dał sam Ligoń swym pierwszym wierszem p. t. Kilka słów do pisarzy i do ludu

stów znów wiemy, jak cieszy się z powodu ukazania się nowego dziełka nauczyciela Reszki, autora Poradnika dla sołtysów włościan górnośląskich, ocenionego chlubnie w Gazecie Polskiej za jego staraniem. „Dziś, pisze w liście z r. 8. 1861 r., mam przyjemność donieść o nowym jego dziełku p. t. Źródło prawdziwego szczęścia czyli dobre wychowanie dzieci. Czytanie naukowe dla ludu pospolitego przez Karola Reszkę, naucz. młodz. Drukiem C. Kolana w Lublińcu, poświęcone P. Karolowi Kosickiemu na W. Wilkowicach, żarliwemu protektorowi mowy polskiej na Górnym Śląsku i usilnemu pracownikowi około oświaty narodu...¹⁸) Cieszy mnie, że pomiędzy nami nowy ludopisarz powstał. Będę go zachęcać.“ W liście z 2 kwietnia 1862 r., gdzie z wiarą w historyczność swoich zasług powiada, że „stolecia miną, czem był w Śląsku Fitzek, czem jest L(ompa) i obecnie inspektor szkolny Stabik w Mikołowie“, donosi o nowym owocu odradzającego się Śląska: „Ale zaś mała iskierka powstaje. Sz(cz)ęść Boże, żeby nie zagasła! Introligator młody, z ojca włościanina, nazwiskiem Antoni Kolano, z parafji Żyglin (w) pow(iecie) bytomskim, mający dobre chęci i talenta, zaczyna wierszami pisać.

(Gwiazdka Cieszyńska, 1858), który porwał czulego na każdy przejaw narodowy na Śląsku Lompę: „Lompa, ucieszony tym głosem z ludu, nawołującym do oświaty i do książek, posłał Ligoniewi książkę w darze, jako wyraz i dowód uznania oraz zachęty do dalszej w kierunku tym pracy. — Lompa i Ligoń znali się nawzajem dobrze; pono Lompa bywał także w domu Ligoniego, i zdaje się być rzeczą pewną, że Ligoń, który tak wiele i rzetelnie dla sprawy polskiej u nas pracował, zawdzięcza swe odrodzenie i unarodowienie w największej części Józefowi Lompie“. (Konst. Prus, Józef Lompa, jego życie i prace, str. 77.)

¹⁸) Dedykowanie dziełka Kosickiemu świadczy o jego popularności wśród ludności polskiej na G. Śląsku. Szczupła polska inteligencja rodzima widziała w nim bojownika o prawa tubylczej ludności.

Myśli dobre, jędrne, moralne, ale on nie zna metryki, trzeba mu też poprawiać wady ortograficzne i t. d. Zdziwiłem się, że już dziś po trzeci raz od trzech tygodni przyszedł do mnie, żeby mu poprawiać jego utwory. Chętnie to czynię. Szczęść mu Boże, bo takowych iskierek mamy (mało)“.

Wielki kult żywi dla dwóch gorących i odważnych szermierzy praw ludu polskiego na G. Śląsku, chociaż Niemców z pochodzenia, — Ks. Szafranka, pierwszego posła polskiego z Śląska do parlamentu pruskiego i Karola Kosickiego¹⁹). Po śmierci ks. Szafranka pisze jego życiorys do Tygodnika Ilustrowanego, załączając portret Kosickiego nazywa zaszczytnie „naszym patriarchą“. Życiorys apostoła trzeźwości na G. Śląsku, wydawcę „Żywotów Świętych“ Skargi, „nader wymownego polskiego kaznodziei“, zmarłego w r. 1862 proboszcza piekarskiego ks. Alojzego Ficka, wysłała również na łamy Tyg. Ill., załączając ułamek kazania nad grobem tego kapłana, jakie wygłosił ks. Purkop, którego jako niemniej wybitnego proboszcza i kaznodzieję polskiego na Śląsku, obdarza ciepłą sympatją²⁰).

W tej szczupłej galerji, wiedział o tem dobrze, mieści się i on i to na pierwszym miejscu. Świadomość wartości swego trudu, dość pochlebne recenzje i artykuły, jakie o nim i jego pracach drukowano, większy, w formie broszurki artykuł pióra F. Nowakowskiego p. t. „Odwiedziny u Józefa Lompy“, wreszcie znaczna, choć nie bezpodstawna zarozumiałość,²¹) każą mu wie-

¹⁹ Rodzina Kosickich była ziemczona. K. Kosicki znał dzieje swej rodziny, która na Śląsk przybyła z głębi Polski.

²⁰) Ks. Purkop został następcą ks. Ficka. Instalację na probostwo piekarskie ks. Purkopa i swój w niej udział opisuje Lompa w listach.

²¹) Do listu z 17 czerwca 1860 r. dołącza artykuł p. t. „Sztuka albo siły żywotnie umysłowo zatrudnionych ludzi“, w którym pisze (i daje przykłady) o częstej dysharmonji między siłami

duchowymi a fizycznymi u genialnych ludzi, wreszcie o różnych ich zwyczajach i nałogach. Gdy już wymienił najwybitniejsze duchy ludzkości, pisze tak: „Co do mnie, gdy mi niedostatek tak dalece dokucza, (że) mi grosza na tabaczkę zabraknie, nie mogę się do żadnej bądź piśmiennej lub innej ręcznej pracy przemieszkać, skoro zaś jaki zasilek skąd przyjdzie i tabaczką nerwy nosowe wzmocnię, natychmiast ożywają się wszystkie siły moje, obudza się nagle najżywsza chęć do pracy, topnieją lody na atramencie, a wyrzuciwszy na nim usiadłą pleśń, zwiędza go pióro i roznosi płyn szybko po papierze.

z rzyć w swoją sławę pośmiertną i widzieć siebie w przyszłości „kamieniem węgielnym“ (oczywiście odrodzenia narodowego Śląska), jak się wyraził w przytoczonym liście do Libelta.

*

Mimochodem potrąciłem już o jesień życia Józefa Lompy. Z listów wyraźnie wynika, że ostatnie dni pisarza upływały w szarym, ciężkim nastroju. Nieustanna walka o byt, brak stałego dochodu, ciągły ubytek sił fizycznych, niesnaski, domowe (skarży się w listach na żonę, nazywa ją Ksantypą), dysproporcja między wkładem pracy własnej i poświęcenia, a tem, co mu życie dawało, łamały jego hart, a rozwijały niesympatyczne cechy jego charakteru. Nie ma prawie listu, w którymby nie narzekał, nie naprzykrzał się o pieniądze, słowem nie żebrał, nie kombinował, jak wydobyć pieniądze ze swej sławy. Niewątpliwie położenie zmuszało go walczyć do tak upakarzających kroków, niemniej jednak czynił to w sposób jaskrawy i przesadny, graniczący nieraz z zapomnieniem się i brakiem krytycyzmu²²).

duchowymi a fizycznymi u genialnych ludzi, wreszcie o różnych ich zwyczajach i nałogach. Gdy już wymienił najwybitniejsze duchy ludzkości, pisze tak: „Co do mnie, gdy mi niedostatek tak dalece dokucza, (że) mi grosza na tabaczkę zabraknie, nie mogę się do żadnej bądź piśmiennej lub innej ręcznej pracy przemieszkać, skoro zaś jaki zasilek skąd przyjdzie i tabaczką nerwy nosowe wzmocnię, natychmiast ożywają się wszystkie siły moje, obudza się nagle najżywsza chęć do pracy, topnieją lody na atramencie, a wyrzuciwszy na nim usiadłą pleśń, zwiędza go pióro i roznosi płyn szybko po papierze.

²²) W jednym z listów (30 maja 1860) przesyła sonet, który, jak sam pisze, powstał pod wpływem lektury sonetu Krystyna Ostrowskiego p. t. Zwiątpienie. Chociaż żał do życia i społeczeństwa nie był stałym towarzyszem jego ostatnich lat, wiersz ten, podobnie jak list do Libelta, posiada typowe cechy. Przytaczam w całości: Żegnam was Muze, życia mego towarzyski!

Z drugiej strony co za olbrzymia wciąż jeszcze energia, pamięć i pracowitość i jakie pogłębienie ideowe! Od rozprawy o wściekłości psów do pracy o wzajemności Słowian, od suchych przyczynków histo-

I was miłych pogardzonych szląskich Polaków,
Kiedy mi już na ryby nie wystarcza saków,
Nie potrzeba mi do nich widelec ni łyżki.

Długo na niwach szląskich roztrząsałem szyszki,
Chroniąc one od szkodliwych pędraków,
Żeby z nich cedry wzrosły dla miłych rodaków,
Lecz za to ani do wody nie mam przegryzki.

Że mych ziomek kochałem, ot! ledwie już
dycham.

Za to, że ugór ich czyściłem z ostu i głogu,
Dziś, pod jarzmem nędzy, niedostatku, z głodu
usycham.

Ziomek mnie poznać nie chcieli na swym
progu,

Przebaczając im, gdy próżno o pomoc wzdycham,
W oplakanej mej dobie poruczam się Bogu.

rycznych i wzmianek bibliograficznych do głębszych treściowo i religijnych wierszy przerzucała się myśl tego geniusza pracy. Ewolucja uczucia narodowego w tym niepospolitym duchu wyraża się znów przejściem od stanowiska Polaka, dla którego idea wolnej Polski nie istniała lub przedstawiała się bardzo mglisto, do stanowiska naszych romantyków: modlitwy o lepszy byt Polski²³). Jak cały zresztą lud śląski, odbywał Lompa drogę od nieświadomości narodowej poprzez polskość, związaną z obroną języka i praw podstawowych, do całkowitej dojrzałości narodowej, której wyrazem była idea wolnej Polski²⁴).

²³) Codziennie przychodzą do nas kompanie do Częstochowy, śpiewające hymny na cześć Marji. Witam ich i żegnam, proszę ich, żeby o *lepszemu bytu Polski Boga błagali* (list z 30 czerwca 1862).

²⁴) Za użyczenie kliszy z portretem *Józefa Lompy około roku 1860* dziękujemy z tego miejsca serdecznie p. Konstantemu Prusowi. — *Redakcja.*

Gustaw Morcinek.

Burmistrzanka Gryzelda.

Burmistrz Marceljusz Kurzejka z Wołenstwa zafrasował się ciężko. Odłożył gęsie pióro i ujął w grube paluchy rzeźbiony dzwonek mosiężny. Ciche oczy spoczęły z ulgą na wymyślnym, cudacznym, a jednak urokliwym kształcie jakiejś stwory pogańskiej, jadącej okrakiem na spaśnej rybie. Uśmiechnął się poniewoli, albowiem przypomniał sobie onę radosną chwilę, kiedy jego żona Monika — Boże jej tam daj radość wieczną!... — z dalekiej pąci wróciła, gdziesik z italskiej krainy, z wiecznego miasta Rzymu, i dzwonek ów w gościńcu przywiozła. Powiadała, że kupiła go w poświęcanym kramie przy świętym Piotrze pod kolumnadami. Pyskaty czarny Italczyk wcisnął jej go do garści za srebrnego guldena. Wzięła, bo uwierzyła bełkotliwym

przysięgom przekupnia, że dostąpi pocieszenia u grobu wielkiego świętego. Tak się jej przynajmniej zdawało, gdyż o czemże innem trajkotałaby ta przechera w zamorskim języku, jak nie o cudzie, którego dostąpić pragnęła? I dostąpiła!...

Zasępił się burmistrz Marceljusz Kurzejka, albowiem duża kropla piołunu kapła w stare serce. Uprosiła żona Monika łaskę u grobu rzymskiego apostoła i po dwudziestu latach nabożnego żywota w małżeństwie, a po dziesięciu miesiącach od powrotu z pąci powiła dziewczkę. Ale umarła. Małeńka Gryzelda została sierotką... Zowitka Rozalja Gągorowa wykarmiła drobną kruszynę i dziewczka wyrosła bez matki.

Słońce wędruje teraz po radzieckiej izbie w ratuszu skoczowskim i rzeźbiony

dzwonek mosiężny zamienia w klejnot złocisty. Burmistrzowe oczy patrzą na rzeźbioną stworę pogańską, co się wdzięczy na obłej ścianie dzwonka. Monika powiadała, że to święty Jonasz, co go ryba połknęła. Lecz on wie, że to nie jest Jonasz. Czytał u Ojców Jezuitów krakowskich w pękatej księdze, iż to Tryton, syn Posejdonu i Amfitryty, co wespół z rodzicami w złocistym pałacu na dnie morza ongiś mieszkał. Ale niech będzie Jonasz, kiedy Monika chciała!...

Moniki niema, ale została Gryzelda, słodkie dziewczę, najpiękniejsze w Skoczowie. Bo jakżeby? Burmistrzanka przecież, dziedziczka małej, żelaznej, grubo kowanej trówełki, wypełnionej guldenami i talarami. Jakżeby?...

Rozradowały się siwe oczy burmistrza Marceljusza Kurzejki z Woleństwa, albowiem dojrzały w przypomnieniu wdzięczną postać Gryzeldy, co pewnie teraz w izbie na klawikordzie brzdąka. Grube paluchy ujęły mosiężny dzwonek i pod słońce jęły powoli toczyć. Tryton to czy nie Tryton? Szczerzy się w swobodnym uśmiechu i jedzie naoklep na brzuchatej rybie, tylko że muszli nie ma, w którą powinien trąbić, by uciszać wzburzone fale morza lub jej głosem Gigantów szpetnych przerażać. Chyba to nie będzie Tryton pogański, lecz naprawdę ów święty Jonasz, co z uporem twierdziła Monika?

Otwarły się dwierze, skrzypnęły.

— No, co jest? — zapytał burmistrz, nie rad, że mu myśli spłoszono.

— Panie burmisterku... a co z tym przybusiem?

Odwrócił się na krześle, spojrział wyniośle na garbatego Warcynę.

— Z jakim przybusiem?

— Pięknie proszę, co to od rana siedzi w karcerze i domaga się wolności.

Przypomniał sobie burmistrz Marceljusz Kurzejka, żeć rano przymknięto w mieście podejrzanego włóczęgę. A że

wczoraj dwie kury zgubiły się Waleczkuli, to to on je chyba skradł, a nikt inny.

— Powiadasz, że domaga się wolności?

— Jako prawiem, panie burmisterku!

— Przykludzić go haw! — rzucił twardo i znów jął bawić się dzwonkiem.

Zadudniły schody drewniane, wiodące do radnicy, posypały się gniewne głosy. Burmistrz słuchał. Ściągnął podbródek w czarną chustę, co ją była misternie w fontaż Gryzelda związała na wykrochmalonym, wysokim kołnierzu, rozszerzył się w piersiach, rozdał jakoby brzuch, a głos przygotował sobie niski, dudniący, burmistrzowski. Potem odwrócił się do drzwi. Prawą dłonią podparł bok, lewą położył szeroko na stole i jął bębnić palcami.

Rozwarły się pchnięte dwierze, do izby wszedł tamten włóczęga. Wysoki, śmigły, opalony. Czarne oczy patrzyły hardo. Nos był pański, cienki, o ruchliwych nozdrzach. Ciemna czupryna lśniła się w słońcu. Z pod rozwartej koszuli czerniła się kudłata, młoda, wypięta pierś. Stanął i czekał.

— Coś ty za jeden? — zapytał burmistrz, dając równocześnie znak Warcyndze, by poszedł za dwierze.

Włóczęga z trudem zbierał koślawe słowa, mocował się z niemi, nizał w zdania i cedził. Opowiedział, że wędruje po świecie za chlebem, z dalekiego Sztramberku, gdzie rzezał w kamieniu gryfony w sali greckiej na zamku hrabiowskim.

— Gryfony?

— Ja. Gryfony. Ale kury żadnej nie ukraść.

— Powiadasz więc, że gryfony rzeźbiłeś? Greckie?

— Ja, moc gryfonów.

— Hm... gryfony... — powtórzył burmistrz Marceljusz Kurzejka i zadumał się na okamżenie. Bo w tej samej chwili przypomniał sobie grubą księgę u Ojców Jezuitów krakowskich, w której były

wyobrażone gryfony greckie. Bestje cudaczne w kształcie lwa uskrzydłonego. Olśniła go jaskrawa myśl. Uśmiechnął się do niej. Równocześnie chywał spojrzeniem przez okno na rynek. Dojrzał na jego środku czyszczarnię kamienną, w której mieszczki bieliznę prały. W środku sterczał duży pal wydrążony, z przystawioną rynienką boczną, a woda cieknie z niej posrebrzaną strugą.

— Tyś Italczyk? — zapytał jeszcze.

— Ja. Italczyk. We Firenze się urodzić i uczyć rzeźbić.

— Chodź bliżej! Jak się nazywasz?

— Bartolomeo.

— Hm... Bartolomeo... No, dobrze. A co to jest? Co to przedstawia? — i podsunął mu pod oczy rzeźbiony dzwonek.

Italczyk ujął w długie, cienkie palce i patrzył na płaskorzeźbę. Burmistrz zaś patrzył na jego palce i myślał z niechęcią, że to pewnie złodziej, kiedyż u niego takie długie i cienkie palce, jakie złodziejowi zwykło się przypisywać.

— No? — zapytał szorstko.

— To Tryton.

Roześmiało się wszystko w burmistrzu Marceljuszu Kurzejce. A więc jednak Tryton!... A Monika — Boże jej tam daj radość wieczną — twierdziła, że to święty Jonasz. A więc nie cyganią grube księgi Ojców Jezuitów krakowskich. Niechęć do Italczyka rozwiązała się. I znowu zapełgała radość w starym sercu burmistrzowem. Jeszcze raz spojrzął na rynek i wodę, ciekącą z rynienki do kamiennej czyszczarni, spojrzął na okna swego domu, co naprzeciw czyszczarni paradził się zielonemi okiennicami i czerwonemi pelargonjami na progach okiennych, a za którymi jego Gryzelda na klawikordzie brzdąka nadobnie. Postanowił.

— Ty, Bartolomeo!.. Potrafisz z naszego kamienia wyrzeźbić takiego Trytona? Ale takiego Trytona, coby trzymał muszlę na głowie, jak tacę, a z niej woda pocieknie?... Wiesz, onby stał na czysz-

czarni... Na miejscu tamtego zgniłego pala... Ty, Barolomeo!...

Rozgorączkował się burmistrz Marceljusz Kurzejka, zapalił do swej myśli, polekał, żeby stojący przed nim smagły przybłęda nie odmówił. Żeby tylko nie odmówił!... Będzie to ozdoba miasta Skoczowa, zaszczyt dla burmistrza Marceljusza Kurzejki, splendor przewielki dla jego osoby, podziw i szacunek ze strony mieszczan, a dla jego słodkiej Gryzeldki przypomnienie matki, co w italskiej krainie jej życie wyprosiła, a potem pomarła, dając jej owo życie... Żeby tylko nie odmówił!...

— No, co?... Bartolomeo, słyszysz? — zapytał znowu, bo Italczyk wciąż patrzył na dzwonek i milczał.

— Ja... Tryton z waszego kamienia wyrzeźbić... Wasz kamień niedobry, ale Tryton wyrzeźbić, jak miłościwy podesta sobie życzyć... A ile guldenów dostać?..

— Sto!... — rzucił bez namysłu burmistrz Marceljusz Kurzejka.

*

Jasnowłosa Gryzelda, córka burmistrza miasteczka Skoczowa, zapomniała o klawikordzie, zapomniała o przecednej a prawdziwej historii o Meluzynie i Piotrze z Prowansyjej ze srebrnymi kluczami na hełmie, wszystkie inne książki, w języku niemieckim pisane i za drogie pieniądze z Wrocławia sprowadzane, również opuściła i biegała do glorjetyki, która wdzięczyła się na usypanym wzgórku w rozległym ogrodzie burmistrzowym, w gęstwie bluszczu i zamorskiego kwiecica. Siadała na zydelku i patrzyła, jak Bartolomeo wyluskuje z niekształtnej bryły piaskowca przedziwną postać. Śmigły, młody, gibki, z rozchełstaną koszulą na włochatych piersiach, raz wraz odgarniający cienkimi palcami rozwichrzoną czarną czuprynę, z drapieźną urodą twarzy i ócz tłukł drobno małym młotkiem po dłucie, a dłuto ślizgało się po kamieniu, łupało cienkie, płaskie drzazgi, wglę-

biało i wydobywało z calizny miękkie, radosne kształty ludzkie. Oto wychyla się już głowa, oto wdzięczna szyja i szeroki, męski tors, smukłe uda i kolana, a z pomiędzy kolan wynurza się rybia głowa z wyłupiastemi, bezmyślnemi oczami. Dzwoni młotek w tanecznym rytmie, dźwięczy dłuto na kruchym kamieniu, a z pod dłuta pryska biała zamieć kamiennych ogryzków, leci łukiem na nagie, opalone ramiona Bartolomea, a nagie, opalone ramiona prężą się w krótkich rzutach, takie mocne, omcne raimona... Gryzeldka, jasnowłose dziewczę przymyka oczy, a z pod trzepocących rzęs patrzy na tamte mocne ramiona, na szeroką, włochatą pierś jego, na smukłe uda kamiennej postaci, zagryza usta drobnymi zębami i zaciska małe piastki. Pod rzęsami błąka się różowa mgiełka, a dziewczynskie serce szaleje z nadmiaru tajemnej słodyczy. Rychło się jednak ocyka z opamiętania. I znowu patrzy na Bartolomea i cuduje jego pracy. Bartolomeo zaś raz wraz ociera pot z czoła, odrzuca czuprynę palcami i patrzy na burmistrzankę Gryzeldę.

— Piotr z Prowansyje!... — myśli wtedy Gryzelda i na drobną chwilę radośnie truchleje.

Bartolomeo zaś uśmiecha się, czarne duże oczy błysną drapieźnie a słodko, a potem znów nachyla się nad kamieniem i zaczyna kuć.

Już tydzień minął.

Z kamiennej płyty wyłoniła się naga postać Trytona. Niekształtna ona jeszcze, ale miejscami już raduje oczy wiernem podobieństwem człowieka. Przyszedł sam burmistrz Marceljusz Kurzejka z Woleństwa. Obejrzał, cmoknął raz i drugi, a potem rzekł do Gryzeldy:

— Idź se, ceruszko do izby... Bo teraz tu mam urzędową sprawę z Bartolomeuszem.

Poszła Gryzeldka, a kiedy burmistrz patrzył na Trytona, Bartolomeo patrzył

znów na Gryzeldę, jak bieżała ścieżką między rozkwitłemi piwonjami.

— Hy, szumne to będzie — pochwalił burmistrz, poklepując Trytona po brzuchu. — Jency tu, majstrze Bartolomeuszu... oto tu... na przyrodzeniu, nie zapomnij listka figowego... Byłay obraza boska i zgorzenie wielkie... A dziewczątka moje grzeszne myśli miałoby. A jeszcze ma czas... A będzie to doprawdy Tryton?

— Ja, Tryton to będzie — potwierdził Italczyk. — Inni majstrowie robić Trytona do połowy w ludzkiej postaci, zaś u dołu...

— Wiemci ja, majstrze Bartolomeuszu, wiem!... Gdy byłem u Ojców Jezuitów krakowskich, to czytałem. Pauzanjusza czytałem. Według niego mieli trytoni włos zielony, trzcinę poza uszami, nos ludzki, usta rozwarne z zębami zwierzęcemi, drobną na ciele łuskę i zamiast nóg ogon grzywiasty delfina... Wiemci ja dobrze, majstrze Bartolomeuszu!... Po łacinie czytałem u Ojców Jezuitów krakowskich... I konterfekt takiego Trytona widziałem misternie wyrysowany w grubej księdze. No dobrze, dobrze... A o listku figowym nie zapomnij, majstrze Bartolomeuszu!...

Uśmiechnął się Bartolomeo i rzekł:

— Nie zapomnieć, miłościwy podo!...

— Bo byłaby obraza boska i zgorzenie przewielkie po mieście!... — dodał jeszcze i poszedł.

Za drobną chwilkę wróciła burmistrzanka Gryzelda. W innej sukience. Bufiastej na bioderkach, długiej z falbankami, a obcisłej na piersiach i głęboko wykrojonej. W błękitnych oczach była słodka omdlałość, na drobnych uścich niepojęty uśmiech, a w głębienu sukienki, na piersiach dziewczynskich lekko rozchylona, czaiła się pokusa rajskiego owocu.

Stała w progu glorjetki, pod światło. Południowe słońce prześwieciło

szeroką, różową sukienkę. Spojrzał Bartolomeo i w zdumieniu piasnął w dłoń. Oczy rozgorzały czarnym płomieniem, czerwone wargi odsłoniły w drapieżnym uśmiechu zęby, chrapy u kształtnego nosa lekko się rozděły. Widzi — smukły kształt dziewczęcego ciała jarzy się białą w przejrzystych fałdach sukienki.

— ...Nascita di Venere... — szepnął.

Zasromała się dziewczeczka jego patrzeniem, weszła do środka.

— Co mówisz? Nie rozumiałam — rzekła.

— Nic. To... to nasz Botticelli... Sandro Botticelli... Jego obraz przypomnieć sobie.

Uśmiechnęła się Gryzelda, boć wiedziała, iż piękna.

— A obraz był piękny?

— Ja. Obraz był bardzo piękny.

— Jak ja? — rzekła, spuszczać oczy.

— Jak senjorina Grizelda! — przyświadczył i skłonił głowę przed burmistrzanką.

Nastała cisza. Ważyły się w niej myśli Gryzeldy i Bartolomea, jak dwa purpurowe motyle. Burmistrzanka jęła się mieszać. Schyliła się, otrząsnęła falbankę, poprawiła, potem odrzuciła główkę i rzekła:

— Proszę mi opowiedzieć o Trytonie. Kto to był?

— Dobrze.

I jął opowiadać. Cisza była w glorjette. Zdaleka sączył się gwar rynku, z odległego podwórza leciały gdakania kur, a w prześwieltonem powietrzu błądziły mocne zapachy kwiatów. Bartolomeo oparł się o Trytona, objął go nagiem ramieniem za szyję i patrzył w dziewczynę. Dziewczyna zaś słuchała przedziwnej historii o Trytonie i Nereidach, córkach Posejdonu. Potem przeszedł do smętnej przygody italskiej ducissy Julji Farnesina z Peruzzi, co się rozmiłowała nad życie w nadobnym Trytonie, w jej ogrodzie stojącym. W tajemnicy schodziła w księ-

życowe noce do niego, do ogrodu, a kiedy księżyc w jego kamienne oczy zaświecił, Tryton podnosił je i patrzył na ducissę. A potem jego marmurowe ciało stawało się żywym ciałem i wtedy zstępował powoli do ducissy. Jej umiłowanie było bowiem tak wielkie, że potrafiło tchnąć życie w Trytona. Nad ranem, kiedy świt rozęgał się na wschodzie, Tryton wracał na swoje miejsce i kamieniał, a ducissa Julja także wracała do swej panińskiej łóżnicy.

— A co potem? — zapytała burmistrzanka, tłumiąc dłońmi rozdygotane serce.

Bartolomeo chwilkę wahał się. Lecz wkońcu powiedział.

— Umarła...

— Umarła? — zadziwiła się boleśnie dziewczyna. — Czemu umarła, powiedz Bartolomeo!...

— Sinjorina! Ja nie wiem!

— Wiesz... Powiedz! Musisz powiedzieć — i tupnęła gniewnie nogą a usta skrzywiła w nadchodzącym płaczu.

— Bo ojciec ją podpatrzeć i Trytona kazać rozbić i wyrzucić do rzeki...

— Ale dlaczego kazał rozbić Trytona?... Dlaczego ona umarła?...

— ...bo ducissa Julja... jej serce pękło... bo miała zostać matką!...

Burmistrzanka krzyknęła zcicha, zasłoniła oczy dłońmi, a potem zerwała się i uciekła do izby.

*

Minął znowu jeden tydzień.

Tryton stał na rynku, na kamiennym postumencie w środku czyszczarni. Woda ciekła z otwartej paszczęki ryby, oraz zlewała się z pluskiem w wdzięcznej muszli kamiennej, spoczywającej na karku Trytona. Koło czyszczarni zbierały się tłumy mieszczan i mieszczek, a wszyscy cudowali się przemyślnej robocie, chwaliли w głos przybusia Italczyka i mądrego burmistrza Marceljusza Kurzejkę, oglądali, cmokali z zachwytem, plaskali w dłonie i mądrowali. Poniektórzy tylko

krzywili się, co pobożniejsi majsterkowie i plotkawe dewotki, patrzący krzywem okiem na pogańskiego nagusa. Rychło jednak ich zmartwienia szczyły, kiedy stary Fafuła, co z niejednego pieca chleb jadał i co roku chadzał z procesją do Frydka, wytłumaczył szeroko, a ze swadą, iż to nie jest żadna obraza boska, gdyż nabożny Jonasz, którego owa kamienna postać przedstawia, nie mógł być inaczej z kamienia wyrzeźbiony, jak bez szaty.

— Widzieliście kiedy, ludczkowie złoci — mówił — żeby święty Jonasz, co biblja o nim pisze, siedział w wielorybim bachorzu w ubraniu?... Nagi musiał być, tak jak go matka na świat wydała, bo inaczej być nie mogło. Widzieliście kiedy, żeby gruby Ferfecki, co się w Wiśle kąpie, kąpał się kiedy w ubraniu? A chłopczyka nasze? Czy też są w szatach? Nie są!... Każdy człowiek, co do wody polezie, musi się rozebrać, bo szkodaby było ubrania. Zniszczy się i zbyte. Tak i święty Jonasz, jeżeli kąpał się w morzu, a wieloryb go połknął, to też musiał być nagi. No nie?

— To jest rychtyk prowda! — przyświadczyły liczne głosy.

— No tóż. A dyć poza tem Italczyk uszanował wstyd męski i zakrył go figowym listkiem!

Prychnęły śmiechy, zachichotały i dewotki, lecz rychło się spostrzegły i jęły spluwać z wielkiego obrzydzenia. Wszyscy zaś przytakiwali żywo staremu Fafule, boć prawdę mówi, a Jonasz jest ładny i ozdobi miasto, jak się patrzy. Cieszyn zaś, Frysztat i Bielsko zazdrościć będą szczerze. A to najważniejsze.

— Dobrze, dobrze! — wychynął czyjś nieufny głos. — Ale czy to naozaist Jonasz? A jeśli to bydzie jaki lucyper, lebo co?...

— Nie plećcie! — rzucił Fafuła. — Jak wóm to jo, Fafuła, mówię, że Jonasz, tóż Jonasz. A zresztą, dyć to i nasz burmisterek powiedzieli, iż to Jonasz, a żaden lucyper!...

Uspokoili się ludzie i przez cały dzień gromadzili koło czyszczarni. Otoczyli szeroki, okrągły basen kamienny czarnym wieńcem i patrzyli urzeczeni w Trytona. A woda dzwoniła jednostajnie, ciekła wachlarzem z muszli, ciurczała zabawnie z rozdziawionego pysku ryby, roztapiała w sobie słońce na migotliwe pętelki złociste, pachniała chłodnym cieniem farskiego lasu i chłodziła powietrze. A kiedy nadjechały pakowne bryki jabłonkowskich kupców, co z dalekiej Słowaczyny wiozą w pękatach beczkach wieźli na pruską stronę, stanęli także rzędem koło czyszczarni, biczykami gabali na Trytona i również się cudowali. A ich konie zanurzały zębska do wody i cykały ją powoli a z namaszczaniem. A kiedy się jej nachlapały do syta, podnosiły łby i także w zdumieniu patrzyły na Trytona. Radość zaś ogromna powstała, kiedy z ratuszowej wieży nadleciała chmura gołębi i z szumem wielkim siadła na brzeżku muszli. Wtedy wszyscy ucichli i cudowali się, widząc, jak gołębie trzepocą skrzydłami, jak nabierają w dzióbki wody, podnoszą je pod niebo i lękają smakowicie w napuszonych gardziółkach.

W gospodzie u Bulandry siedział zaś burmistrz Marceljusz Kurzejka z radnymi i poił węgierskim winem urodziwego Italczyka Bartolomea, co nazajutrz miał Skoczów opuścić.

Wesele było wielkie w miasteczku.

Za zwiewnemi firankami zaś, poza gęstwą pelargonij i fuksyj siedziała burmistrzanka Gryzelda i patrzyła na rynek. A co jej błękitne oczy spotkały się z widokiem nachylonego Trytona, ogarniały ją coraz większe płomienie, a krew coraz warciej przelewała się w sercu, gdyż doświadczała je miłosna udreka. Potem znowu schylała głowę i czytała poraz nie wiedzieć który tamtę scenę z książki, co tak cudnie prawiała o Piotrze z Prowansyjej ze srebnymi kluczami.

Wieczorem wrócił burmistrz Marceljusz Kurzejka do domu, odprowadzany ze śpiewem i helokaniem. Zataczał się mocno, albowiem sporo szklanic ciężkiego wina węgierskiego wychylił pospólnie z nadobnym Italczykiem i radnymi u Bulandry. Położył się też rychło do łóżka, utrudzon wielce całodziennymi wrażeniami.

Gryzeldka zaś pomodliła się i położyła w panińskiej łóżnicy. Okno było otwarte. Nie mogła usnąć, albowiem wciąż widziała pod powiekami tamtego nagiego Trytona z czyszczarni, co miał czarne oczy, drapieżny uśmiech, mocne ramiona i szeroką, włochatą pierś młodzieńczą. Zegar na ratuszowej wieży liczył czas powoli. Już całe miasto spało. Tyle tylko, co ten człapiący się czasem pod oknami garbaty Warynga z zapaloną latarnią i srogą halabardą, i dalekie szczekanie zamiejskich psów.

Gryzeldka nie mogła usnąć. Patrzyła chwilami w srebrnawy mrok alkowy, potem przechyliła głowę na poduszce i zapatrzyła się w księżyc, co przez okienny próg przeszedł do środka i teraz wędruje po malowanej ścianie.

W pewnej chwili przypomniała sobie tamto opowiadanie Bartolomea. O ducisie Julji, która tak bardzo miłowała Trytona, że on żyw zstępował do niej...

Wstała i podeszła do okna.

Księżyc stał wysoko. Srebrną polewą stroił zmurszałe, zielonawe szędzioly na dachach, leżał w głębokiem uśpieniu na rynkowym bruku, nurzał się w czyszczarni, a bełkocząc wodę, co z muszli ciepła, zamieniał w żywe srebro. Świecił w oczy Trytonowi.

Gryzeldka przeciągnęła się leniwie, a wtedy gieźleczo zsunęło się z jej ramienia i odkryło lewą pierś. Nie podniosła gieźlecza. Nie widziała zresztą. Stała w oknie z rozpuszczonemi włosami, blada, słodka, urzeczona. Wyciągnęła ramiona do Trytona. I wtedy — o błogosła-

wiony Janie Sarkandrze!... — Tryton podniósł głowę, że muszla przechyliła się na plecy, a woda wylała się strugą, teraz muszlę odkłada, wstaje, prostuje się, ramiona wyciąga... Srebrzy się w księżycu jego nagie ciało... Schodzi z czyszczarni, ostrożnie a lekko, idzie... idzie... coraz bliżej.. do okna podchodzi... Czarne oczy gorzejają, białe zęby luskają w drapieżnym uśmiechu, a szeroka pierś dyszy, gdyż żywe serce w niej wali stokrotnym młotem...

— Tryton!... — zaszepiała Gryzelda i wyciąga ramiona.

— Ducissa Grizelda!... — słyszy dźwięczny a miękki głos z pod okna.

— Bartolomeo!... — woła znowu Gryzelda i serce jej szaleje.

Zamykają się koło niej mocne, mocne ramiona.

*

Posiwiął przez tych kilka miesięcy burmistrz Marceljusz Kurzejka z Woleństwa, postarzał się, do ziemi pochylił, przybity nieszczęściem. Zjechały się mądre doktory z Bielska i z Cieszyna, ba nawet z dalekiego Pszowa, gdzie to cudowna Matka Boska włodarzy, przyjechał na szkapinie stary rektor Jonachus, z wielkiem puzdrem przyjechał, a w puzdrze ziół suszonych przywiózł bez liku.

Burmistrzanka Gryzelda gasła w oczach, jak lampka oliwna w kościele, w której oliwy zabraknie. Leżała w dziewczyńskiej łóżnicy, blada, zamyślona, z rozsypanem złotem bogatych włosów na poduszce, patrząca nieruchomo. Czasem szeptała jakieś słowa, których nie można było zrozumieć, czasem zaś powtarzała to jedno, jedyne słowo: Tryton. Ojciec głąskał po głowie swoją dziewczkę, nukał, żeby powiedziała, o czem tak boleśnie myśli, prosił, na modlitwy do Przemienia Pańskiego sutą garścią dawał, nawet dużą świecę woskową ufundował do bocznego ołtarza, lecz Gryzelda gasła. A zanim uległa, pod jesień jeszcze, widywali ją wracający pijacy i garbaty Warcyn-

ga także nieraz ją widział, jak zeskakiwała z okna w gieźleczku tylko, i biegała do Jonasza na czyszczarni. Stawała przed nim, załamywała ramiona i cicho płakała. A potem wracała do alkowy, wspinając się z trudem do okna, które przecież nie tak wysoko od ziemi. Pijacy żegnali się nabożnie wytrzeźwieni przeżeniem i uciekali na złamanie karku, Warcynga zaś patrzył na nią z ukrycia raz i drugi, a potem orzekł, że burmistrzanka Gryzelda jest miesiącznikiem, gdyż akurat wtedy chodzi w gieźleczku ku Jonaszowi, kiedy księżyc w pełni świeci.

Powiedział o tem ojcu, kiedy ją znowu ujrzał, gdy pierwszy mróz zeszedł na ziemię. Lecz już było zapóźno. Od tej nocy Gryzelda nie podniosła się z łóżka, tylko leżała bez siły i gasła powoli, jak lampka oliwna, kiedy w niej oliwy braknie.

Frasował się ojciec i drogich doktorów sprowadzał kolasa z Cieszyna i Bielska. Lecz doktorzy głowami tylko kiwali i nic nie mogli uradzić. Przepisali jakieś medykamenty, wzięli talary i pojechali. A Gryzelda z dniem każdym gasła.

Rozpaczał stary ojciec, do kościoła chadzał, kajał się przed ołtarzem, z Bogiem po nocach się wadził, ręce załamywał, w piersi bił i prosił, i prosił o Boskie zmiłowanie.

Poradziła stara Waleczkula, żeby sprowadzić rektora Jonachiusa z Pszowa.

Przyjechał więc Jonachius na chudej szkapinie, z przytroczonem do siodła dużem puzdrem, napełnionem zieleń rozlicznem.

Przywiózł ziele Krzysztofa, co diabła odpędza, przywiózł *Aconitum nepalense*, żeby myśli dziewczynskie spełniły się, *Anonis aestivalis*, co czarownice zwykły na miłość zadawać, i *Alchemilla vulgaris* co kochanka przywraca, a który trzeba zaszyć w sukienkę na prawem ramieniu i

nosić przez trzy pełnie księżycy, potem *Levisticum officinale* do warkocza, żeby wżgardzoną miłość obudzić, oraz *Capsella bursa pastoris*, żeby grzeszne pragnienia ugasić, i *Lycopodium clavatum* na złe uroki czarownic, i wiele, wiele jeszcze innego ziele, powiązanego psią trawą w maluchne snopeczki.

Wyłożył wszystko na stół stary, skurczony rektor Jonachius, podrutowane okulary na krzywy nochał wsadził i zażył tabaki. A potem wstąpił do alkowy dziewczęcej i długo w niej przebywał. Nikt nie śmiał mu przeszkadzać. Ojciec stał pod dwierzami i pacierze szeptał, przegradzając je łzami.

Potem wyszedł z alkowy zafrasowany rektor Jonachius.

— No i co?... No i co?... — pytał gorączkowo ojciec.

— Hm... — mruknął rektor Jonachius i chude dłonie rozłożył bezradnie.

— Jezusie święty!... — zaskowyczał ojciec i jął tłuc głową o ścianę.

Uciszył go rektor Jonachius, ugłaskał chudą dłońią po siwej głowie.

— Ktoś omamił tamto dziewczę!.. — rzekł potem. — Ktoś szpetnie omamił. Pytołech sie, kto taki. Nie chciała powiedzieć. Ale potem powiedziała...

— Jezusie, Marjo!... Kto?... Powiedzcie? Zabiję!... — zerwał się z ławy, straszny w swym gniewie.

— Powiedziała... że jakiś... że jakiś Tryton... Greckie to miano, więc tuszę, iż w malignie to prawifa...

— Jak?... Jak?... Tryton?

— Tak powiedziała!.. Tryton jakiś.. Ale ona może wyjdzie z tego... Dam ziela, dam dużo ziele, wyleczy się... A czy wiecie, że ona..

— ...że co?

— ...że ona będzie... matką...

Stokrotny piorun spadł na ziemię, sklepienie świata zawaliło się z okropnym łoskotem, ciemność legła ogromna na stare oczy ojcowe...

Ziele rektora Jonachiusa z Pszowa nie pomogło.



Fot. inż. W. Kasperlik.

Powleczono go do krzaków, do gęstej tarniny, co się płożyła bujnie na wzgórzu pozamijskiem.

Poniesiono białą trumnę na cmentarz skoczowski, a w trumnie białą dziewczkę ze złotymi włosami. A kiedy trumienkę grzebano w rozmięklej ziemi, grzebano z nią i stare serce ojcowe, co już skowyczeć nie mogło. A polami przeganiał

pachnący wiatr, niosący z sobą wiosnę z poza Beskidów, i słońce i radość wszego stworzenia.

Potem zeszli się zafrasowani mieszczanie u starego Bulandry i jęli radzić. Nowego burmistrza im potrzeba, bo Marceljusza Kurzejkę boleść zgryzła doimentu, a przedewszystkiem tamtego przekłętego Jonasza trzeba z miasta wyświęcić, gdyż on przyczyną nieszczęścia. Zwiedzieli się bowiem mieszczanie o wszystkim, kiedy garbaty Warcynga opowiedział, co widział w nocie księżycowe, i kiedy rektor Jonachius powiedział, co mu dziewczeczka wyjawiała.

I kiedy burmistrz Marceljusz Kurzejka siedział przy próżnem łóżku swojej nieboszczki Gryzeldki i szlochał, i poduszkę gryzł, i ręce łamał, zebrali się mieszczanie na rynku. Zarzucili powrozy na szyję pogańskiego Jonasza-Trytona, zerwali z czyszczarni, a kiedy się potoczył do błota, jęli go pospólnie a z wysiłkiem wlec poza miasto. Baby zaś i dzieci prały go kijami, błotem obrzucały, kamieniami ciskały w jego plugawe cielsko, wszyscy zaś krzyczeli i złożęczyli haniebnie. Powleczono go do krzaków, do gęstej tarniny, co się płożyła bujnie na wzgórzu pozamijskiem, i tam go porzucono w pogardzie. W nocy przyszedł jeszcze garbaty Warcynga i halabardą poutraćał mu ramiona i nogi, nos i usta, poszczerbił jego kamienne ciało, sprął, zrąbał, że się halabarda doimentu pogięła i nasyciwszy się zemstą, poszedł obchodzić ulice.

A kiedy w przechodzie spojrzął przez szparę w okiennicy do burmistrzowej świetlicy, dostrzegł, że na stole pali się lampa, a burmistrz siedzi schylony za stołem, trzyma w dłoni swój mosiężny dzwonek radziecki i dzwoni cicho, cichutko.



Drewniana warownia średniowieczna na Górnym Śląsku

(na przykładzie miasta Pszczyzny).

Uogólnienie stosunków w dawniejszych wiekach nie każdego zadowolić może; ciekawość każe czasem dociekać szczegółów, aby obraz życia uplastyczyć, chciałoby się widzieć barwnie, słyszeć nietylko głośny hałas, ale i drobne szmery. Jak anekdota z życia wielkiego człowieka zdoła nam zbliżyć jego postać, ułatwi zrozumienie jego istoty, tak często drobna mozaika stosunków średniowiecznych daje nam obraz prawdziwszy.

Tembardziej pożądanym jest wniknięcie w drobne szczegóły życia i urządzeń średniowiecznych naszych stron bliższych, gdy dotąd z owych czasów tylko w grubszych zarysach dowiadaliśmy się o trybie życia ludności naszej ziemi śląskiej.

Korzystam w tem dążeniu z rzadkiej okoliczności, mianowicie z różnych zapisków w protokolarzu radzieckim miasta Pszczyzny, prowadzonego od roku 1466. Dziwna to księga. Nie spisywano wówczas u nas jeszcze książek powieściowych, a jednak czytelnik, wczytawszy się w ową pstrokaczną różnych suchych zapisków, stoi pod wrażeniem, że czyta nader zajmującą powieść współczesną.

W następnym podaję z owego protokolarza garść faktów, świadczących o *obronności miasta Pszczyzny i trosce obywateli wokoło utrzymania warowności miasta w okresie lat 1466—1480*¹⁾.

Nie chcąc własnymi uzupełnieniami i domysłami zatrzeć autentyczności zapisków, związałem poszczególne luźne notatki w jaką taką całość. Niech czytelnik sam z tych luźnych kamyczków zestawí sobie żywą mozaikę owych odległych o bli-

sko pół tysiąca lat czasów. Niech się wsłucha w odległą nutę, dolatującą nas z daleka, jak melodyjne, choć ochrypło-słumione pianie kura w słoneczny dzień wiosenny.

Ludność miasta Pszczyzny przeżywa w 15 wieku czasy ciężkie, niespokojne. Starszego pokolenia pamięć sięga jeszcze do czasów sprawowania nad ziemią pszczyńską rządów przez Helenę, wdowę po Janie, księciu Raciborskim. Księżna ta, córka Dymitry Korybuta, więc bliska krewna Władysława Jagiełły, króla polskiego, zamieszkiwała stale gród pszczyński po śmierci swego małżonka. Wtenczas to, w r. 1433, miasto nasze mężnie odparło napad husyckich najeźdźców. A omal wszyscy jeszcze pamiętają, jak w roku 1454 wojsko księcia Wacława Opawskiego daremnie zapuszczało szturm na warowne miasto.

Wszędzie też w mieście widnieją jeszcze puste miejsca i ruiny po pożarze miasta w roku 1458, ale naogół już zdołano miasto jako tako odbudować, przede wszystkim urządzenia warowne miasta tak ponaprawiać, aby stanowiły skuteczną obronę przed najazdem. Niechęnie słuchali obywatele wspomnień o owej niefortunnej obronie miasta w pamiętną sobotę przed Zielonemi Świątami roku 1462, kiedy to Hanusz Starszy, książę Karniowski, zręcznym podstępem zdobył nasz gród. Wojacy ks. Hanusza, przebrawszy się w strój kobiet wiejskich, udających się rzekomo z rybami, jajami i t. p. na targ do miasta, inni znów w takim samym przebraniu, udając, że dążą do Wodzisławia na odpust, dostali się do miasta bez oporu, a tu dopiero, zamieniwszy się w pewnej chwili w zbrojnych wojowników, łatwo zdobyli miasto i niestrzeżony gród pszczyński.

¹⁾ Słowne określenia (polskie lub czeskie) ujęto tu w tekście w cudzysłów, łacińskie wyrazy podano w nawiasach.

A teraz nastał, od roku 1466, brat Hanusza, książę Waclaw, zwany Rybnickim. Był to człowiek niespokojny, awanturnicy, a Pszczyzna przez cały czas jego panowania nie zaznała spokoju.

Obywatele teraz musieli się gorączkowo krzątać wokół ufortyfikowania miasta; wydatki na naprawę tych urządzeń zajmują poważną część budżetu miasta, który wówczas był naprawdę budżetem wojennym.

Miasto Pszczyzna otoczone było *nie murem*, a tylko wałami ziemnymi i rowami. Na wałach zaś wznosiło się potężne ogrodzenie z ostrokołów, tu zwane powszechnie *parkanem*. Ponieważ szczególniejsze opisy drewnianych grodów miejskich i tak są rzadkie, a z naszych bliższych stron takowych wogóle nie posiadamy, warte zaznaczyć się nieco bliżej z tego rodzaju obwarowaniem miasta „o drewnianych murach“.

Utrzymywanie tak długiego, całe miasto obejmującego parkanu, wymagało ciągłej naprawy ze względu na nietrwały materiał budulcowy. Stąd też w naszej księdze bardzo często są wzmianki o różnych naprawach, i pozwalają na rekonstrukcję takiego drewnianego grodu i sposób jego obrony.

Czyszczono i pogłębiano co pewien czas rowy nawodnione, otaczające miasto od strony południa i wschodu. Głównym przedmiotem troski obywateli był właśnie ów parkan, namiastka murów miejskich. Wznosił się na wale ziemnym, zbudowany z potężnych belek dębowych i tarcic, szczelnie powylepianych gliną. Szczyt parkanu stanowił daszek szędzielny (gontowy). Wokoło całego parkanu, w pewnej wysokości, biegł ganek, gdzie stali obrońcy podczas odparcia szturm. W pewnych odległościach prowadziły na parkan schody (gradus, scale ad parcanum), w odstępach wzdłuż całego parkanu zbudowane były piece, gliną wylepiane. Może służyć miały do gotowania smoły i t. p.

celem chłodzenia z góry zapалу szturmujących? Czytamy, że obywatel Goły zatykał i zalepiał gliną otwory w parkanie, jakie z czasem powstały. Daszek na parkanie naprawiał stary Nicz. Pozatem prowadzili w tym okresie prace wokół parkanu i inni obywatele, jak Białek, Piotr Cieśla, Stanisław; pewnie poza wymienionymi zajęci byli przy tych pracach jeszcze inni robotnicy i pracownicy, gdyż zawsze przy tego rodzaju pracach miasto częstuje ich piwem (pro cerevisia laborantibus in parcano).

Do tak warownego miasta można się było dostać przez dwie *bramy*. Jedną, od wschodu, zwano „bramą dolną“; czasem pisze się o niej jako o bramie, którą idzie się do Oświęcimia (tak w r. 1444); później zwano ją też „bramą polską“. Druga, brama górna, opodal grodu, zwana jest później też „bramą niemiecką“, gdyż wtedy doszło się niby — z czasem do Niemiec. — Bramy te nazwane są w czasie, o którym się pisze, „branami“. Zbudowane są z potężnych belek dębowych i grubych tarcic, wylepionych starannie gliną, jak zresztą cały parkan. U góry nad bramą jest „izba“ dla „branników“. W izbie jest piec, gliną wylepiany i potrzebne „naczytnie“. Strażnicy tu są płatni przez miasto. często bowiem pisarz notuje w księdze należytość, płaconą tym „co stali na branie“. Czyta się też o łańcuchach do bram. Całość kryta jest gontowym daszkiem. Naprawą bram miejskich zajęci byli miejscowi rzemieślnicy prawie ciągle.

Tuż przy parkanie (może opodal bram miejskich?) stoją dwie osobne wieże obserwacyjne, a zarazem obronne, zwane „górną“ i „dolną“. (Raz dodano przy jednej, że znajduje się „za stodołą“). W zapiskach naszych zwane są różnie. Zwykle znajduje się określenie *baszty*, czasem zwane są wieżami (turre), lub też wartowniami (fortalicium, propugnaculum). W roku 1476 zbudowano nową wieżę, a przytem dla szeregu miejscowych rzemieślników był zarobek niezły. Czynnici tu byli „cieśle“,

„srotarze“, użyto różnego rodzaju „gwoździ“, „spernali“, „łatnych“, „szędzielnich“, dalej „śruby“ i „śrubrzyki“, „skoble“, „banty“. Baszty te oczywiście były również starannie powylepiane gliną, kryte były drewnianymi gontami i snopkami słomianymi(!), choć znano tu wówczas i ceglane dachówki, zwane „łatne“ (tegule alias łatne — 1468 r.). Za wylepienie gliną baszty dano m. i. w roku 1466 3 grosze²⁾. Wieże te stały prawdopodobnie jeszcze w obrębie rowów nawodnionych, gdyż od każdej prowadził most przez wodę, most zwodzony; łańcuchami i powrozami można ich było podnosić. Łańcuchy do tych mostów dostarczał n. p. w roku 1469 miejscowy kowal, Jakub Dybalicz. Łańcuchy zwane tu są starym językiem „ciepy“.

Na pewnych miejscach parkanu (może i na bramach?) ustawione były *bombardy* lub *machiny*, przyrządy do ciskania kamieni i innych pocisków. W roku 1470 sprowadzono bombardę z Oświęcimia. Sporządzał też w samym mieście Pszczynie takie maszyny cieśla Wąż w tym samym roku; naprawą ich zajęty był Jurek Kowal. Obok „bombarda“ znajduje się tu też określenie *balista*. Obywatelowi Siekierce dano w roku 1466 za taką balistę 1 złoty. W roku 1470 wydano 1 grosz na piwo cieślom, pracującym koło bombard i machin na parkanie.

Byli tu również tarany czyli kafary, zwane w księdze dawnym językiem *szlagi*. Szlagi te poruszano na łańcuchach, n. p. w r. 1476: „pro cathenis ku slagum“.

Wielkiego nakładu wymagały rok rocznie budowa i utrzymanie licznych mostów przez rzekę Pszczynkę i rów miejski. Mosty wyłożone były „dylami“; często

²⁾ Wartość pieniędzy była wówczas oczywiście bez porównania większa, kiedy za parę butów płaciło się grosz, achtel piwa żorskiego kosztował 30 gr., a dom w mieście nabyć można było za cenę 3 do 10 złotych (w drugiej połowie XV wieku).

też wspomina się o „blachach“ ku mostom. W obrębie obwałowania miasta, na nieznanym wzniesieniu, wznosił się gród pszczyński, czyli *zamek*. Gród miał własne obwarowanie, był również otoczony rowami, a prowadziła do niego osobna brama. W grodzie mieściło się też więzienie. W roku 1472 dano Wężowi 3 grosze, „co sprawiał pęta na więzienie ku grodu“. Często też słyszy się w owej księdze, że obywatele musieli nakładać na ów gród, wykonywać tam różne roboty.

Obywatel miasta, zdolny do obrony, przechowywał broń w domu u siebie. W pewnej ilości przechowywano też broń na ratuszu miasta. Przy przejęciu urzędowania przez nowego burmistrza i radnych notuje się owe zapasy broni, zwykle kilka *hakownic* (były to rusznice, których lufy opierano na hakach), kilka funtów *prochu strzelniczego* i kilka kop *strzałów*. Miasto wydało w roku 1473 m. i. na proch 6 szerokich groszy oraz 3 i pół złotego na „puszki“ (t. j. broń palną), „na własną potrzebę“.

Prochu strzelniczego w mieście naszym nie wyrabiano, nie było tu też większego składu prochu strzelniczego. Gdy zachodziła potrzeba, wysyłano po proch do Oświęcimia lub innego większego miasta. W małych ilościach przechowywano proch też w mieście, a w tym celu zakupiono w roku 1469 nową żelazną skrzynię. Natomiast lano tu potrzebne do rusznicy kule. W roku 1470 zapłacono Maciejowi, zięciowi Klimkowemu, 4 grosze „od kul do puszek“, drugi raz temu samemu dano 1 ferton „za kule“. Kul też dostarczał niejaki ślusarz z miasta. Podpory do hakownic sporządził w roku 1470 obywatel Świder. Obywatelowi Białkowi dano w r. 1466 za narzędzia, zwane tu *strzeliska*, 5 groszy („za strzeliska alias tenacula“). Czemu owe strzeliska były, nie mogę powiedzieć. Łacińskie określenie „tenaculum“ mogłoby tu oznaczać również podpory do hakownic.

W tym czasie rozlegał się z miejskiego obwarowania, może po raz pierwszy, także

huk dział ciężkich, t. zw. *kolupryn*. Sprowadzono je tu z Żorów w roku 1467, a przewozili te „kolupryny“ obywatele Glinka i Michał.

Powyższa broń palna w tym okresie służyła pewnie przy obronie samego miasta. Zwykle używa się jednak w tym czasie broni dotychczasowej, więc z kuszy strzela się strzałami. W naszej księdze strzały te nazywane są dawnym językiem *szypy*, lub też *twirzniki* (może to więcej z Czeska?). Wyrabiał je w mieście Jakub Dybalićz w tym czasie. Za 5 kop tych szypów płacono tu wówczas pół grzywny i 3 grosze. Jedna kopa tych nieosadzonych strzałów kosztowała 6 i pół do 8 groszy. Drewniane strzały trzeba było wprawdzie w żelazne kolce. Za takie „osadzenie“ 5-ciu kop szypów dostał kowal Bialek 21 groszy i 4 halerze zapłaty. Owe strzały szybko się wyczerpały w tych niespokojnych czasach, a zapotrzebowanie było wielkie. To też corocznie powtarzają się częste wydatki na sporządzenie nowych, które zamawiano od razu po kilka kop.

Nie dowiadujemy się z naszej księgi nic o osobnych ćwiczeniach obywateli w strzelaniu, jakie się w innych miastach w tym czasie odbywały. Nasze dzisiejsze bractwa kurkowe w początkach swych sprowadzają się bowiem do owych czasów, kiedy znajomość obchodzenia się z bronią była koniecznością dla każdego obywatela. Pewnie więc i w Pszczynie nie obeszło się bez takich ćwiczeń.

Bronił obywatel pszczyński dzielnie swego miasta i nie ościagał się, gdy wypadło wyruszyć w zbrojnym orszaku poza obręb miasta dla obrony kraju. I tak m. i. czytamy na rok 1466: „Na wyprawę wojenną dano Piątkowi 9 fertonów, dalej za ciężnym (stipendiariis) i grzywnę, więcej na mięso 15 gr., na chleb 6 gr., na mączną kaszę i groch (pro pultibus et pisa) 3 grosze, na masło 3 grosze; pozatem jeszcze za wóz i konie Piątkowi na wojnę dano 19

groszy“. W roku 1472: „Daliśmy 10 groszy tym, co na wojnę szli, na wyprawę“. Wionie dziwny awanturniczo-wojenny duch z krótkiego zapisku z roku 1474: „Zapłaciliśmy pół złotego dawnego długu do Żarów, co mieszczenie tam byli przepili, gdy szli Pietrkowice zdobywać“ (tak dosłownie po polsku w oryginale).

W jakim *uzbrojeniu* obywatel wyruszał na wyprawę wojenną, nie można się dokładnie z naszej księgi dowiedzieć. Często są jednak wzmianki o żelaznych „szynach“ lub „blachach“, które z kasy miejskiej zakupywano u miejscowego kowala lub ślusarza. Łacińskie określenie „ocrea“, dodane czasem dla tych rzeczy, wskazuje jednak niedwuznacznie na szyny-nagolenniki lub naramienniki, ochronę goleni i uda lub ramion wojaka. Za jedną szyną płacono 1 grosz. Poza wyżej wymienioną bronią (t. j. kuszą i strzałami) uzbrojeni byli w oszczepy (iaculum), lub też włócznie. W roku 1473 dano 1 i pół grosza posłowi, który niósł włócznie z Pszczyny do Mikołowa do księcia Wacława (qui portavit lanceas penes duces in Mikulow).

W roku 1476 budowano dość dużym nakładem tu w mieście „szranki“, ogrodzone linami i łańcuchami. Czy to były ogrodzenia placów dla turniejów, czy też owe szranki służyły innym celom, nie wiemy.

W związku z wojennym nastrojem owych czasów stoją też bardzo liczne poselstwa miasta do różnych miast sąsiednich lub do wybitnych osobistości świata politycznego. Nie ulega wątpliwości, że owe poselstwa z poleceniami i listami księcia Wacława nosiły charakter polityczny, gdyż skądinąd wiadomo, że książę Wacław szukał w tym okresie oparcia o Polskę, chcąc zamienić zależność lenną w stosunku do króla czeskiego z korzystniejszą z Polską. Liczne były poselstwa tamtejszych mieszczan, zwłaszcza do Oświęcimia i Krakowa. Wysyłano tam obywateli, jeździł do Krakowa starosta pszczyński, wy-

jeźdzał tam sam ks. Wacław (m. i. w roku 1469, 1472, 1473). Do kanclerza króla polskiego, Jakuba Dębieńskiego, były zwłaszcza w roku 1473 liczne poselstwa tutejszych obywateli. Rzeczywiście też zjawiał się Jakub Dębieński z wojskiem polskim pod Żorami na odsiecz tego miasta.

Gdy w roku 1474 Bielik z Kornicy, wódz króla węgierskiego, Macieja, nadszedł z wojskiem swym na odsiecz miasta Pszczyny, goszczono tego wodza w mieście i wydano na jego cześć 2 grosze na kogutki! Poprzednio już, w roku 1471, witano w mieście królewicza polskiego, Władysława Jagiellończyka, jako nowoobranego króla czeskiego. Miasto wysłało też wówczas naprzeciw królowi obywatela Jakuba z wozem wieńców do Krakowa, za co Jakubek otrzymał 3 i pół fertonu. Książę Wacław wreszcie w roku 1474 uległ swym licznyim przeciwnikom i błędził, pozbawiony swych ziem, po sąsiednich terytorjach. Miasto więc spieszyło powitać nowego pana, księcia Hynka z Minsterbergu. Obywa-

tel Mandala wioził teraz z Pszczyny wieńce hołdownicze naprzeciw księciu Hynkowi aż do Gliwic.

Dziś z drewnianego obwarowania miasta oczywiście już nic nie pozostało. I wały ziemne dawno już zostały zrównane. W drugiej połowie 16 wieku pozwolono obywatelom budować domy w parkanie, t. j. w oparciu jednej ściany o parkan, z tem zastrzeżeniem, że na wypadek koniecznej obrony miasta domy te ulec miały zburzeniu. Uchwałą jednego z śląskich roków stanowych (książęcych) z końca 16 wieku postanowiono ufortyfikować miasto Pszczynę więcej nowoczesnie, jako ważny punkt pograniczny i dla skuteczniejszej obrony przed grożącą nawałą turecką. Projekt ten nie doczekał się realizacji. Obecnie tylko rów, otaczający leniwym biegiem stare miasto od południa, przypomina jeszcze dawną tradycję miasta, oraz powyższe stare zapiski w protokolarzu z przed pół tysiąca lat.

Franciszek Popiołek.

Z dziejów szkolnictwa polskiego w Cieszynie.

W zeszłym roku przedstawiłem na łamach „Zarania“ założenie gimnazjum polskiego i szkoły ludowej w Cieszynie, oraz stanowisko Niemców śląskich wobec tych zakładów¹⁾. Niniejszy artykuł, stanowiący ciąg dalszy tamtego, ma na celu charakterystykę warunków, wśród jakich powstał trzeci zakład polski:

SEMINARJUM NAUCZYCIELSKIE MĘSKIE.

Seminarjum polskie było bardzo potrzebne, wprost konieczne. Po wsiach Śląska Cieszyńskiego były szkoły ludowe pra-

wie wyłącznie polskie, z wyjątkiem gmin w powiecie bielskim, położonych w sąsiedztwie miasta Bielska. Były to wprawdzie szkoły przeważnie nisko zorganizowane, jedno- lub dwuklasówki, ale w nich mogli uczyć tylko nauczyciele, władający językiem polskim.

Takich seminarja niemieckie w Cieszynie i Bielsku nie dostarczały. Profesorowie Niemcy, wychowanie w duchu niemieckim, z tendencją germanizacyjną. Tylko w cieszyńskim seminarjum był jeden nauczyciel Polak, i jeden przedmiot, mianowicie nauka gospodarstwa, był udzielany w języku polskim. Przedmiot podrzędny, a nauczyciel nie miał w tym zespole żadnego znaczenia.

¹⁾ Zarianie śląskie, 1931, str. 181—187.

Kierunek wychowania w zakładach niemieckich oraz jego skutki określił trafnie J. I. Kraszewski²⁾.

„Supremacja żywiołu niemieckiego, który się sławi jako jedyna dźwignia kultury i postępu, jego nawyknienie do panowania, nowe siły i przykład, jaki mu daje zajadła germanizacja w sąsiednim cesarstwie niemieckim, sprawiają, że choćby prawa pisane nie upoważniały go do narzucania się i tępienia narodowości słowiańskich, ma on wszędzie niezaprzeczoną przewagę. Gdzie mu nie starczy ani litera ani duch prawa, umie ten żywioł obchodzić je, umie wyzyskać słabość ludzką, bojaźliwość podwładnych, nieporadność naszą — słowem korzysta ze wszystkiego, a nade-wszystko z bezkarności, jaką mu dzisiejsza urosła potęga Niemiec zapewnia.

Nie potrzebujemy dowodzić, że te świętokradzkie porywy na skarb najdroższy człowiekowi, na spuściznę wieków, na naturę jego, na to, co go czyni tem, czem on jest — nietylko się nie usprawiedliwiają potrzebą państwa, interesem cywilizacji, ale szczepią niechęci, utrwalają walkę zgubną, zasiewają niepokój.

Żaden język i z nim połączona a nim objawiająca się narodowość nie mają prawa stawiać się wyżej nad inne i rozwój innych hamować.“

Z seminarjum niemieckiego w Cieszynie, uczęszczanego w przeważnej ilości przez uczniów pochodzenia polskiego, wychodzili — z rzadkimi wyjątkami — Niemcy, nieprzyjaźnie usposobieni dla młodzieży polskiej i języka, w którym mieli uczyć, władający słabo tym językiem, w najlepszym razie znający tylko narzecze śląskie. Tym trudno było uczyć w szkołach wiejskich młodzież polską i nie bardzo też mieli ochotę po temu. Niemieckie też były dwa seminarja prywatne w Bielsku i jedno w Cieszynie. Wskutek tego niemieckie władze szkolne, chcąc im iść na rękę, sto-

²⁾ W sprawie szkół ludowych na Szlązku, Cieszyn 1879.

sując nos do tabakiery, i zamieniając szkołę w narzędzie germanizacji, wzięły sobie za cel stopniowe zniemczenie wszystkich szkół ludowych śląskich i zrobiły język niemiecki osiłą i głównym celem nauczania. Znamienne w tej sprawie jest rozporządzenie Rady Szk. opawskiej z r. 1873. Powiedziano w niem: „Celem nauki języka niemieckiego w nie-niemieckich (t. j. w polskich i czeskich) szkołach na Śląsku jest uzdolnić dzieci: 1. do rozumienia języka niemieckiego w mowie i piśmie; 2. do poprawnego wyrażania swych myśli w języku niemieckim ustnie i piśmiennie. Celowość metodyczna wymaga, aby nauki języka niemieckiego, mającej postępować w jak najściślejszym związku z nauką języka ojczystego, nie rozpoczynano dopiero w wyższych klasach szkoły ludowej, przeciwnie, ma ona się zacząć już w pierwszym roku szkolnym. Tu język niemiecki nie jest językiem wykładowym, lecz przedmiotem nauki. Stopniowo ma on jednak wstępować do życia szkolnego z coraz szerszym uprawnieniem tak, iż na wyższych stopniach nauki ma być używanym jako język wykładowy obok języka nie-niemieckiego także język niemiecki.“

W tym celu, w szkołach wyżej zorganizowanych, wprowadzono w klasach wyższych język niemiecki jako drugi język wykładowy, czyli utrakwizowano je, aby z czasem, gdy nauka niemczyzny postąpi dostatecznie, zamienić je na całkiem niemieckie, z niemieckim wyłącznie językiem wykładowym.

Radzono sobie też w inny sposób: nie zakładano wcale szkół w takich gminach wiejskich, gdzie one musiały być polskie, zmuszając przez to dzieci do uczęszczania do sąsiednich szkół niemieckich. Tak robiono szczególnie w pobliżu miast, gdzie szkoły były tylko niemieckie³⁾.

³⁾ Mowa posła T. Regera w parlam. wied. (Stenogram z 19. XI. 1913. Mies. Ped., styczeń 1914).

Mowa posła ks. J. Londzina w parlam. wied. (Mies. Ped., marzec 1914).

Natomiast seminarjum niemieckiego w Cieszynie nie pozwolono zutrakwizować. W roku 1874 wniósł poseł polski Cienčila w parlamencie wiedeńskim następującą rezolucję: „Wzywa się Rząd, aby się starał o to, żeby język wykładowy w seminarjum nauczycielskiem w Cieszynie odpowiednio do potrzeb ludności polskiej, zaś w seminarjum nauczycielskiem w Opawie odpowiednio do potrzeb ludności czeskiej, w ten sposób urządzono, jak to obecnie ma miejsce w seminarjach nauczycielskich we Lwowie, Stanisławowie i Tarnopolu względem języka ruskiego.“ Wniośku tego nie przyjęto, a odrzucenie motywował sprawozdawca niemiecki w następujący sposób: Co się tyczy seminarjum nauczycielskiego w Cieszynie, to liczy ono tylko 29 uczniów i prawdą jest, że z nich prawie wszyscy, a mianowicie 28 jest takich, którzy policzeni są w sprawozdaniu jako należący do narodowości polskiej. Jest wszakże rzeczą wiadomą, że narzecze, jakim tam mówią, nie jest bynajmniej polskiem, ale jest mieszaniną języka polskiego i czeskiego, która się zwykle wassenpölnisch nazywa i która nie jest językiem książkowym, gdyż nie wychodzą

Ze statystyki szkoln. lud. w powiecie ciesz. (Mies. Ped., styczeń i marzec 1912).

Memorjał Polsk. Tow. Ped. w spr. zniesienia rozp. śląsk. Rady Szk. Kraj. z r. 1873 o nauce jęz. niemieckiego w szkołach nie-niemieckich na Śl. (Mies. Ped., wrzesień 1908).

J. Mucha: Rzut oka na szkoln. polsk. powiatu bielsk. (Mies. Ped., luty 1911).

Fr. Popiołek: Przedwojenny stan polsk. szkoln. lud. w Ks. Ciesz.

Koszarzycki: Szkolnictwo lud. na Śląsku Ciesz. Szkoła, maj 1912.

³⁾ Szkolnictwo polskie na Śląsku pod pręgierzem krytyki parlamentarnej (mowa ks. J. Londzina) w Mies. Pedagog. z czerwca 1908).

Stan szkolnictwa polsk. w zagłębiu karwińskim (Mies. Ped., wrzesień 1911).

Mucha J.: Nasze szkoły utrakwistyczne (Mies. Ped., czerwiec, 1911).

w tym języku żadne druki. Zapewnili mnie też pedagogowie, że wykłady w języku polskim nie przez wszystkich tam są rozumiane, którzy w tamtejszym sprawozdaniu są zaliczeni do narodowości polskiej⁴⁾.

Ten sam los spotkał 18 lat później postawione wnioski w sejmie śląskim w Opawie przez posła dra Michejdę. W nich żądał on od ministerstwa oświaty zarządzenia, by w seminarjum nauczycielskiem w Cieszynie oprócz nauki rolnictwa jeszcze jeden przedmiot główny wykładany był przez nauczyciela zawodowego w języku polskim dla tych kandydatów, którzy chcą uzyskać kwalifikacje dla szkół ludowych polskich, oraz by Rada Szk. Krajowa zmieniła rozporządzenie, normujące naukę języka niemieckiego w szkołach ludowych w ten sposób, aby nauka ta w szkołach więcejklasowych zaczynała się dopiero w roku drugim, a w jedno-klasowych w roku trzecim.“

Dr. Michejda powołał się przytem na dawniejsze swoje wywody, w których wykazał, że rozporządzenie to, pomijając wszystko inne, nie odpowiada zasadom pedagogiki, a to z tego powodu, że szkoła ludowa nie jest właściwym miejscem do nauki języków obcych i że ta nauka języka niemieckiego, nawet ze stanowiska obecnych naszych stosunków śląskich nie jest urządzona pedagogicznie, jakże bowiem wymagać od dziecka ze wsi, aby w pierwszym roku, kiedy przyszło do szkoły, nauczyło się nie tylko czytać po polsku, pisać i rachować, ale nadto jeszcze, aby się uczyło obcego języka⁵⁾?

Gdy Niemcy mimo wszystko obstawali przy dotychczasowej organizacji seminarjum, przy tem, że to seminarjum niemieckie ma przygotować nauczycieli dla szkół polskich, a brak nauczycieli dla

⁴⁾ Gwiazdka Ciesz. z 26. XII. 1874.

⁵⁾ O szkoły polskie na Śląsku. Mowa posła dra Michejdy w sejmie śląskim.

szkół wiejskich dawał się odczuwać coraz silniej, społeczeństwo polskie na Śląsku, aby zaradzić temu brakowi, a zarazem zapobiec tym szkodliwym skutkom, jakie wynikały z wychowywania nauczycieli polskich w zakładzie niemieckim, musiało pomyśleć o założeniu seminarjum polskiego, które ks. Fr. Michejda w rozmowie z korespondentem „Czasu“ uznał słusznie — za instytucję może jeszcze niezbędniejszą niż gimnazjum („Czas“ z 31. VIII. 1905).

Zażądało ono od państwa założenia seminarjum polskiego, a gdy to się okazało beznadziejnym, postanowiła „Macierz“ założyć seminarjum prywatne, gdy jednak podanie zostało w tej sprawie wniesione do władz centralnych, zaraz rozpoczęła się wśród Niemców śląskich gorączkowa agitacja przeciw niemu.

Burmistrz cieszyński dr Demel zwołał natychmiast nadzwyczajne posiedzenie Wydziału gminnego, na którym uchwalono jednogłośnie wnieść protest przeciw założeniu seminarjum polskiego i wysłać w tej sprawie deputację do prezydium Rady ministrów i do ministra oświaty. W memorjale, który deputacja przywiozła do Wiednia, powiedziano: „Zastępstwo gminne miasta Cieszyna podnosi protest przeciw założeniu polskiego seminarjum, ponieważ:

1. istniejące obecnie seminarjum w Cieszynie odpowiada w zupełności potrzebom ludności śląskiej, zwłaszcza że uczy się w niem tak polskiego jak i czeskiego języka, a także egzaminy odbywają się w tych językach;

2. założenie seminarjum polskiego będzie miało jak najgorszy wpływ (höchst ungünstigen Einfluss) na wychowanie nauczycieli i młodzieży śląskiej;

3. przez to założenie będzie nietylko zagrożony niemiecki charakter miasta, lecz także zniknie na zawsze pokój narodowościowy w kraju;

4. przez popieranie ruchu „wielkopolskiego“ na Śląsku wschodnim będzie także

narazona na szwank austriacka myśl państwowa;

5. kształcenie słowiańskie dzieci śląskich będzie zbrodnią na nich dokonywaną, ponieważ zostaną w przyszłości pozbawione korzyści z kultury niemieckiej i ograniczony zakres ich zainteresowań nietylko na polu duchowym, ale także materialnym⁸⁾.

Memorjał zawiera też uzasadnienie rezolucyj, w którym „przełożenie gminne chce dać jasny obraz całkiem odrębnych stosunków, w których cierpi miasto Cieszyn i jego ludność“. W niem charakteryzuje działalność Polaków jako dążenie do spolonizowania Śląska przez szkoły zakładane z funduszy, zebranych głównie poza Śląskiem, zagranicą, na co specjalnie zwraca uwagę władz i kończy w ten sposób: „Zastępstwo gminy Cieszyna nie chce wskazywać na to, że przez upaństwienie zakładów polskich, których kraj wcale nie potrzebuje, urosną dla państwa wielkie ciężary, ale zwraca z naciskiem uwagę na to, że każdy po austriacku i patriotycznie myślący Ślązak musi być głęboko urażony, gdy środkami, pochodzącymi z zagranicy, zakłada się w mieście niemieckim szkoły, które mają wyraźny cel wychowania części społeczeństwa śląskiego, usposobionej dotychczas po austriacku i żyjącej w zgodzie z niemieckim obywatelstwem, w duchu polskim i poróżnienia jej z Niemcami. Granicą dawnego państwa polskiego była zawsze Białka i rząd austriacki nie ma interesu w tem, żeby polska kultura przekroczyła tę granicę i zniszczyła starą austriacką granicę Śląska. Wspierać usiłowania zagranicznych „patriotów“ polskich jest równoznacznem z wydaniem przez Austrię Śląska na łup szowinistycznych i pansławistycznych aspiracyj.

Zastępstwo gminy miasta Cieszyna będzie zatem wszelkimi środkami dążyć do

⁸⁾ Silesia z 22. XI. 1904.

wyświetlenia tych „niesłychanych stosunków i do zapobieżenia im, a Ekscelencję prosi o obiektywne i ściśle zbadanie przytoczonych powyżej faktów i poparcie usiłowań gminy, w tym kierunku, iżby sprawy wychowania na Śląsku nie były rozstrzygane i załatwiane w Warszawie, Krakowie lub Lwowie, lecz w ministerjum oświaty w Wiedniu.“

„Zasłużony dla miasta“ burmistrz dr. Demel wystąpił też w parlamencie wiedeńskim dwukrotnie przeciw szkołom polskim w Cieszynie, chociaż powstanie w mieście nowego zakładu leżało niewątpliwie w interesie mieszczaństwa. Drugą swoją mowę tak zakończył: „Mogę Rząd tylko ostrzec z jak największym naciskiem przed upaństwowieniem gimnazjum polskiego lub założeniem polskiego seminarjum, jak tego żąda dr. Michejda, to bowiem wywołałoby burzę nie tylko na Śląsku, lecz prawdopodobnie wśród wszystkich Niemców austriackich i apeluję do wszystkich posłów niemieckich. Nie dajcie nam zginąć, nie wydajcie nas na łup polskim zdobywcom, wesprzyjcie nas w walce, którą prowadzimy na Śląsku w obronie austriackiej idei państwowej“⁹⁾.

Apel dra Demla i memoriał przedstawicielstwa miasta, przedłożony przez deputację, znalazły bez trudności zrozumienie w austriackim ministerstwie oświaty. Podanie o zezwolenie na założenie seminarjum polskiego było badane przez parę lat i plany naukowe musiały być trzykrotnie przedkładane, pozwolenie na otwarcie seminarjum prywatnego, na które Polacy mieli już przygotowane środki finansowe, jednak nie nadeszło.

Zamiast tego pozwolił Rząd na otwarcie oddziałów polskich przy seminarjum niemieckim w Cieszynie. Równocześnie, ponieważ na Śląsku zachodnim panowały

podobne stosunki i Czesi nie mieli żadnego seminarjum nauczycielskiego, Rząd przyrzekł otworzyć paralelki czeskie przy seminarjum niemieckim w Opawie.

Otwarcie oddziałów równoległych polskich w roku szk. 1904-5, ograniczone w dodatku przez to, że te oddziały miały być tworzone co drugi rok, których celem było zapobiec założeniu prywatnego seminarjum polskiego z nauką historii w języku niemieckim, było najmnijem ustępstwem ze strony Rządu na rzecz Polaków. Tak też to starał się wytłumaczyć prezydent ministrów deputacji niemieckiej, w skład której wchodził burmistrz cieszyński dr. Demel, gdy ta udała się do niego z protestem przeciw paralelkom i żądaniem usunięcia ich (lipiec 1904). Przedstawił im, że zarządzenie Rządu miało jedynie na celu zaradzenie brakowi nauczycieli na Śląsku, że pozatem w organizacji seminarjów dotychczasowych ani w kierownictwie nie zajdą żadne zmiany, oraz przestrzegał przed poażłowaniem godnymi demonstracjami i namiętną agitacją, jaka się przeciw paralelkom rozpoczęła¹⁰⁾. W Opawie przyszło bowiem do czynnych demonstracji niemieckich. W Cieszynie trudniej było Niemcom demonstrować. Mieszczaństwo to, które nie było rozagitowane i lepiej rozumiało swój interes niż jego przywódcy, nie widziało powodów do protestów. Gdy na zjeździe przedstawicieli stowarzyszeń przemysłowych śląskich, w większości oczywiście niemieckich, chcieli politycy niemieccy spowodować rezolucję przeciw paralelkom, ci odmówili stanowczo i rezolucja przepadła¹¹⁾.

W parlamencie wiedeńskim odbyła się w tej sprawie obszerna dyskusja, podczas której dr. Demel zarzucał rządowi dążenie do zakłócenia i zburzenia pokoju narodowościowego na Śląsku, zapewniał, że do zwalczania paralelek nie skłaniają go bynajmniej nienawiść ani nietolerancja

⁹⁾ Silesia z 17. IV. 1902. Przeciw polsk. semin. przemawiał dr. Demel też w Bielsku (Silesia z 22. III. 1913).

¹⁰⁾ Neue Freie Presse z 23. VII. 1904.

¹¹⁾ Czas z 31. VIII. 1905.

Niemców, lecz jedynie troska o zakłady niemieckie, obawa, że one ulegną zesłowiańszczeniu i groził dalszemi demonstracjami, „skoro Rząd ustępuje tylko przed ulicą”¹²).

Przeciw rozporządzeniu rządu w sprawie paralelek słowiańskich wystąpił też sejm śląski. Na pierwszym posiedzeniu (19. IX. 1904) złożyli posłowie niemieccy następującą deklarację: „Podpisani uważają otwarcie słowiańskich paralelek w niemieckich seminarjach nauczycielskich w Opawie i Cieszynie za środek niezaprzeczenie szkodliwy dla dalszego rozwoju istniejących niemieckich zakładów. Utrakwistyczne zakłady naukowe spotykają się z niechęcią ludności niemieckiej, gdyż, jak doświadczenie poucza, służą one za środek, mający na celu obrzydzenie jej przystępu do istniejących zakładów niemieckich. Podpisani uważają więc, w myśl zgodnych zapatrywań swoich wyborców, za swój obowiązek i zadanie, wnieść z wszelkim naciskiem zastrzeżenie przeciw temu zamachowi na ciągłość prawną szkolnictwa śląskiego. Z ubolewaniem widzą podpisani, że wszystkie ofiary dla szkolnictwa ludowego nie służą dziełu pokoju i że rząd, mimo poniesionych ofiar, przez zarządzanie swoje naraża na szwank instytucje szkolne. Wnosimy więc uroczysty protest przeciw postępowaniu rządu i przeciw pominięciu reprezentacji kraju, interesowanej w wysokim stopniu w spokojnym rozwoju miejscowego szkolnictwa i wzywamy rząd, aby cofnął decyzję swoją co do klas równorzędnych w obu niemieckich seminarjach nauczycielskich”¹³).

Agitacja odniosła częściowy skutek. Czesi rzekli się paralelek w Opawie, gdy im zapewniono utworzenie samoistnego seminarjum w Ostrawie Polskiej (przechrzczonej potem przez Czechów na „Śląską”), na terenie spornym między nimi a Polakami.

Sprawa paralelek polskich w Cieszynie nie dawała spokoju Niemcom jeszcze przez dłuższy czas. Dnia 17 września 1905 urządzili Niemcy w Cieszynie w sali ratuszowej „wielki” wiec (Volkstag). W odezwie, nawołującej do obesłania go, napisano: „Ciężka troska opanowała serca Niemców Śląska wschodniego. Chce się ich usunąć z kraju, który swój rozwój, swoją kulturę zawdzięcza ich kilkusetletniej pracy. Tam, gdzie ich przodkowie żyli i działali, gdzie pracowali nad tem, żeby z puszczy zrobić kraj kulturalny, wdzierają się obcy, którzy przybyli na Śląsk z Galicji, z miast dawnego państwa polskiego, aby ten kraj zdobyć dla polskości. Niemcy, od wielu wieków osiedleni tutaj, uważani są za przybłędów, a kraj chcą osiąść Polacy. Jakiem prawem? Siedemset lat przed rozbiorem Polski przestał Śląsk do niej należeć, a przed tem był tylko przez 170 lat lennem królów polskich. Książęta śląscy, choć pochodzenia polskiego, byli gorliwymi przyjaciółmi Niemców. Stosunki między nimi, szczególnie książętami cieszyńskimi a Niemcami dawnego cesarstwa były bardzo ożywione i niemiecki duch, niemiecki obyczaj i niemieckie prawo panowało w całym kraju. Nagle wszczął się za Białką ruch, polscy uczeni, patryjoci i politycy odnaleźli Śląsk jako swój kraj historyczny, opanowany przez obcych przybyszów i postanowili go odzyskać dla polskości. Cudzoziemcy odwiedzają co roku naszą ojczyznę, dawne „miasto Piastów“, nas, których przodkowie mieszkają tu od wieków, którzyśmy się tu urodzili i licznymi interesami związani jesteśmy z naszymi współobywatelami słowiańskimi, nazywa ten Polak, który tu przybył ze Lwowa, Krakowa lub Tarnowa, cudzoziemcami, bo jego jest ta ziemia, jego góry, jego lud. W swej bezczelności i zarozumiałości postanowiono spolszczyć nasze szkolnictwo, nasze władze i w kraju zasiać niezgodę. Ale to się im nie uda. Choć rząd wspiera ich usiłowania i gotów jest wydać Śląsk na łup polskim aspiracjom, to jednak Ślązacy, a przedewszystkiem Niem-

¹²) Silesia z 22. XI. 1904.

¹³) Gwiazdka Ciesz. z 24. IX. 1904.

cy śląscy wystąpią silnie przeciw tym zamiarom, podejmą walkę, której nie wywołali, którą w zbrodniczy sposób rozpoczęto, a hasłem dzisiejszego wiecu musi być: Precz z mieszaniem się obcych do naszych spraw! Śląsk dla Ślązaków¹⁴⁾.

Zrozumiałem jest, że wobec takich wywodów jeden z mowców wiecowych radził, „by się nie wdawać w dyskusje historyczne na temat, kto był w kraju pierwszym. Tego rodzaju wywody są niebezpieczne, bo możnaby wykazać ich nieprawdziwość. Musimy przestać opierać nasze żądania na prawie i ustawie“, twierdził¹⁵⁾.

Głównymi mowcami wiecu byli dr Demel, dr Bukowski i dr Türk. Pisma niemieckie naliczyły na nim 2500 uczestników. Rezolucje uchwalone brzmią: „Zgromadzenie Niemców Śląska wschodniego ubolewa (beklagt auf das tiefste), że pokój i zgoda w kraju są naruszone przez nieustanne żądania narodowe przywódców czeskich i polskich, i że Rząd, wbrew istotnym interesom całej ludności Śląska, ze względów politycznych, robi ciągle ustępstwa i tem samem osłabia spójność administracji kraju.

Także otwarcie paralelek słowiańskich w Cieszynie zagraża niemieckiemu charakterowi nie tylko miast śląskich, ale i całego kraju.

Niemcy Śląska wschodniego protestują jak najenergiczniej przeciwko dalszemu utrzymaniu paralelek polskich w Cieszynie, ale zarazem przeciw zamiarowi założenia drugiego seminarjum samoistnego na Śląsku wschodnim, domagają się równego traktowania paralelek słowiańskich w Cieszynie jak i w Opawie, czyli zniesienia natychmiastowego paralelek polskich w Cieszynie, a na wypadek, gdyby to nie nastąpiło, przyłączenia ich do słowiańskiego seminarjum w Ostrawie Polskiej, które ma być otwarte.“

¹⁴⁾ Silesia z 17. IX. 1905.

¹⁵⁾ Silesia z 26. IX. 1905.

To ostatnie zdanie zostało opuszczone na wniosek dyrektora szkoły wydziałowej w Skoczowie Kreisla, poza tem rezolucja została jednomyślnie przyjęta przez zgromadzenie.

Na tym samym wiecu uchwalono też rezolucję dra Bukowskiego, dotyczącą języka urzędowego na Śląsku, w której założono protest przeciw jakimkolwiek zmianom w stosunkach językowych na Śląsku, tak w szkole, jako też w sądach i urzędach i żądano ustawowego zaprowadzenia języka niemieckiego jako państwowego¹⁶⁾.

Wiec zakończono odśpiewaniem pieśni „Wacht am Rhein“.

Akcja przeciw paralelkom polskim, prowadzona przez Niemców śląskich z niezwykłym nakładem sił i energii, zakończyła się częściowem powodzeniem. Wprawdzie Rząd ich nie zniósł, ponieważ były potrzebne i nie chciał się narażać Kołłą polskiemu w Wiedniu, od głosów którego zależał zwykle byt danego rządu. Macierz Szkolna musiała tylko dopłacić rządowi do utrzymania ich przez jeden rok. Ale gdy Rząd oświadczył gotowość utworzenia z 4 oddziałów równoległych odrębnego całkowitego seminarjum i przyrzekł wystawić dla niego budynek szkolny, oraz założyć przy nim internat państwowy, Polacy, ustępując przed nieustannymi atakami i natarczywymi żądaniami Niemców, zgodzili się na ustąpienie z Cieszyna i ulokowanie seminarjum w Bobrku. Niemcy domagali się usunięcia zakładu z Cieszyna w obawie, że profesorowie gimnazjum i seminarjum opanują I koło wyborcze w gminie i wprowadzą do Wydziału gminnego jednego Polaka.

Gmach dla seminarjum stanął w roku 1911¹⁷⁾, mało odpowiedni, ale przyrzeczenia co do internatu rząd austriacki nie do-

¹⁶⁾ Silesia z 19. IX. 1905.

¹⁷⁾ Sprawozdanie kierownictwa państw. semin. naucz. w Bobrku, 1919. W r. 1932 został Bobrek przyłączony do Cieszyna.

trzymał. Mimo to Niemcy, wiedząc o tem, stale, przy każdej sposobności, w dalszej walce z postulatami polskimi, przytaczali założenie internatu na dowód wielkiej ustępliwości rządu i swojej na rzecz Polaków.

Tytułem rekompensaty dla Niemców cieszyńskich za ich zgodę na seminarjum polskie i budowę gmachu dla niego Rząd wystawił w tymże czasie (1909) dwa budynki dla szkół średnich niemieckich (w nich mieszczą się obecnie oba gimnazja polskie).

KOMISJA EGZAMINACYJNA.

Pierwszy egzamin dojrzałości w paralelkach polskich odbył się w r. 1908. Gdy potem zamienione zostały na samoistne seminarjum, tem samem powstała w niem osobna komisja egzaminacyjna, która wystawiała świadectwa dojrzałości z kwalifikacją do uczenia w szkołach powszechnych z językiem wykładowym polskim. Ponieważ jednak seminarjum to było w części utrakwistyczne, bo historii uczono w języku niemieckim, a nadto były obowiązkowe kursa z języka niemieckiego, komisja miała prawo przyznawania kwalifikacji do uczenia nietylko języka niemieckiego jako przedmiotu, lecz także wogóle w szkołach z niemieckim językiem wykładowym¹⁸⁾.

Lecz niemieckie seminarjum w Cieszynie zaprowadziło u siebie nadobowiązkowe kursa języka polskiego i w dalszym ciągu wystawiało abiturjentom swoim kwalifikacje do uczenia nietylko w szkołach niem. i utrakwistycznych, ale także polskich, choć nauczyciele seminaryjni z wyjątkiem dyrektora i jednego nauczyciela sami nie posiadali kwalifikacyj z języka polskiego ani nawet tego języka nie znali.

¹⁸⁾ Miesięczn. Pedagog., lipiec 1908, art: Czy seminarja niemieckie na Śląsku mają prawo wystawiania świadectw dojrzałości do szkół lud. z jęz. wykł. polskim?

Również seminarjum prywatne SS. Bormeuszek w Cieszynie, gdzie wtedy nie było wogóle żadnej nauczycielki Polki, wystawiało świadectwa dojrzałości z kwalifikacją do uczenia w szkołach polskich, a gdy rząd chwilowo zabronił mu tego, Niemcy postarali się o cofnięcie zakazu¹⁹⁾.

Rząd tolerował ten nienormalny stan rzeczy, a inspektorowie szkolni, Niemcy, odstraszaali od uczęszczania do seminarjum polskiego groźbą, że nauczyciele stamtąd wychodzący nie uzyskają posad na Śląsku, gdzie był przecież brak nauczycieli i dlatego rząd widział się zmuszony do otwarcia paralelek polskich. Wychowankowie seminarjów niemieckich, których wówczas było 4 na Śląsku Cieszyńskim (jedno państwowe i 3 prywatne), uzyskiwali bez trudności posady, nawet w szkołach polskich, a o to właśnie chodziło u tych kandydatów, którzy będąc z pochodzenia Polakami, zapisywali się w dalszym ciągu do seminarjum niemieckiego pomimo istnienia seminarjum polskiego. Renegaci wszelkiego rodzaju znajdowali w ten sposób poparcie rządu i władz szkolnych. Ci zaś znowu służyli na rękę Niemcom. „Landlehrerverein“, który się z nich głównie składał, podczas gdy nauczyciele Polacy grupowali się w „Polskiem Towarzystwie Pedagogicznem“, wnieśli nawet memorjał do rządu krajowego, w którym oskarżono nauczycieli polskich o „polską agitację narodową, propagowanie idei polsko-narodowej, idei państwowej wszechpolskiej czyli jagiellońskiej, oraz o przeszkadzanie utrwaleniu wpływów kultury niemieckiej na Śląsku wschodnim“²⁰⁾.

Po paru latach wychowankowie seminarjum polskiego mieli przystąpić do drugiego egzaminu, t.zw. kwalifikacyjnego, od którego zależało ustalenie ich w zawodzie nauczycielskim i uzyskanie stałych posad. Wtedy stała się aktualną kwestja komisji

¹⁹⁾ Silesia z 22. III. 1913.

²⁰⁾ Mies. Ped., kwiecień 1909, art. „Kierunek własny „Landlehrervereinów“ renegackich“.

egzaminacyjnej dla nich, należało postanowić, kto będzie orzekał o kwalifikacjach nauczycieli polskich. Po długim czekaniu i dużych wysiłkach ministerjum utworzyło zgodnie ze statutem organizacyjnym seminarjów nauczycielskich, przy seminarjum nauczycielskim w Bobrku komisję egzaminacyjną dla szkół polskich, a przy seminarjum niemieckim w Cieszynie pozostawiono komisję egzam. dla szkół niemieckich. Czyniąc jednak ustępstwo na rzecz Niemców, rząd ustanowił jeszcze trzecią komisję dla nauczycieli, którzy ukończyli seminarjum niemieckie i uzyskali tam prawo uczenia w szkołach z językiem wykładowym polskim. Komisja ta miała się składać w części z egzaminatorów Niemców, w części Polaków, a stawać mieli przed nią ci nauczyciele, którzy chcieli mieć kwalifikacje do szkół polskich, ale nie mieli ochoty, czy obawiali się stawać przed komisją egzaminacyjną polską na Bobrku.

Przeciw temu zarządzeniu Niemcy podnieśli krzyk. Już przedtem, nim ono nastąpiło, w przewidywaniu go dr Bukowski, wiceburmistrz, wniósł memoriał do władz szkolnych opawskich, w którym przedstawił stanowisko Niemców w tej sprawie. Dr Hinterstoisser zwołał nadzwyczajne zebranie stowarzyszenia (Deutscher Verein), którego był prezesem, a to uchwaliło — po przedstawieniu sprawy przez burmistrza dra Demla, następującą rezolucję: „Odbyte w dniu 7 maja 1913 w sali hotelu „pod Jeleniem“ zgromadzenie, w którym wzięło udział przeszło 500 osób, zastrzega się z jak największą stanowczością przeciwko rozporządzeniu ministerstwa oświaty z dnia 21 stycznia b. r., zawierającemu ukrócenie praw językowych komisji kwalifikacyjnej przy seminarjum niemieckim w Cieszynie i widzi w tem zarządzeniu zamach na dotychczasowe prawa seminarjum niemieckiego, oraz groźbę dla jego bytu. Żąda usunięcia t. zw. mieszanej komisji i przeniesienie jej kompetencji na komisję egzaminacyjną przy seminarjum cieszyńskim, która winna dalej posiadać prawo

przyznawania kwalifikacji do szkół z niemieckim i polskim językiem wykładowym. Zastrzega się jednak zarazem przeciw przyznaniu komisji egzaminacyjnej na Bobrku prawa kwalifikowania także do szkół niemieckich, ponieważ wychowankowie seminarjum bobreckiego, tak z powodu swojego pochodzenia, jak i z powodu niedostatecznej nauki języka niemieckiego w tem seminarjum, nie są w stanie opanować nauki języka niemieckiego tak dalece, iżby w nim mogli udzielać nauki, podczas gdy w seminarjum niemieckim jest wielu kandydatów, pochodzenia polskiego, w zakładzie mają gruntowną naukę języka polskiego i nadają się w zupełności do uczenia w szkołach polskich, jak to wykazało długoletnie doświadczenie. Zgromadzenie żąda takiego uregulowania sprawy, jakie nastąpiło na Śląsku zachodnim, gdzie komisja opawska otrzymała prawo kwalifikowania do szkół niemieckich i czeskich, a komisja polsko-ostrowska tylko do szkół czeskich. Zgromadzenie wzywa posłów do parlamentu i do sejmu do użycia wszystkich wpływów, żeby komisje egzaminacyjne w Cieszynie i Bobrku były w ten sam sposób urządzone.“

Podczas wiecu dyr. Litera zawiadomił zebranych, że egzaminatorowie niemieccy, którzy mieli zasiadać w komisji mieszanej, oświadczyli, że nie będą zasiadać razem z członkami komisji z Bobrku, Polakami, a inspektor szkolny Montag doniósł, że również kandydaci, którzy mieli przystąpić do egzaminu przed komisją mieszaną, odstąpili od egzaminu i składać go nie będą²¹⁾.

Rząd austriacki i tym razem ustąpił przed terrorem agitatorów niemieckich, którymi byli burmistrz i wiceburmistrz miasta, dyrektor szpitala i przedstawiciele władz szkolnych miejscowych. Komisja mieszana była czynna tylko jeden czy dwa razy i przestała istnieć.

²¹⁾ Silesia z 10. V. 1913.

Takie stanowisko zajmowali Niemcy wobec spraw szkolnych polskiej ludności Śląska w czasie wybuchu wojny światowej. W imię kultury, na którą się ciągle powoływano, mniejszość niemiecka zwalczała zawzięcie wszelkie usiłowania, mające na celu podniesienie kultury większości polskiej. Pomagał jej w tej walce odłam Ślązaków polskich, który dla chleba, ze względów materialnych, połączył się z Niemcami²²⁾.

Na zakończenie, dla charakterystyki i porównania ustosunkowania się Niemców do spraw szkolnych i postulatów narodowych za czasów przed- i powojennych, na Śląsku, przytoczę — bez komentarza — żądania Niemców cieszyńskich, wystosowane do przedstawiciela rządu polskiego, prezydenta ministrów Witosa, podczas jego pobytu w Cieszynie w charakterze urzędowym. Wtedy to przedłożyli mu następujące żądania:

1. W Komisji Rządowej i we wszystkich instytucjach rządowych, jakie zostały ustanowione przez tę Komisję, mają Niemcy otrzymać zastępstwo odpowiadające ich liczbie ludności. Wogóle chcą mieć udział w organizacji władz.

²²⁾ Stanowisko Ślązakowców w sprawie Komisji Kwalif. — przedstawił ich przywódca w art. „Die Lehrbefähigungs-Kommissionen für Volks- und Bürgerschulen in Teschen u. Bobrek“ (Silesia z 25 X. 1913).

2. Uznanie bez zastrzeżeń języka niemieckiego za drugi język krajowy, dwujęzyczność wszelkich napisów urzędowych, ogłoszeń, załatwianie pism niemieckich w języku niemieckim.

3. Dotyczy wyborów gminnych.

4. Autonomia szkolnictwa niemieckiego, narazie przynajmniej w postaci oddzielnej sekcji niemieckiej w istniejącej obecnie Komisji szkolnej, którą należy rozbudować na podstawie demokratycznej, oddać jej ukształtowanie szkolnictwa niemieckiego, odpowiednio do specjalnych potrzeb kulturalnych²³⁾.

Żądania powyższe stały w rażącej sprzeczności z rzeczywistością, która wykazała coś wręcz innego. Gdy ustał nacisk niemiecki, wywierany przedtem ze wszech stron i ludność mogła sobie dobrać szkoły według własnego uznania i potrzeby, wtedy pokazało się, że, przynajmniej w Cieszynie, niema materiału uczniowskiego ani na jedną szkołę średnią, a liczne niemieckie szkoły powszechne musiały ograniczyć się do jednej, 4-klasowej, ze szczupłą frekwencją.

²³⁾ Art. dra Landwehra: Die Forderungen der Deutschen im Teschner Schlesien (Deutscher Grenzboten z 22. V. 1921) i Fr. Popiołek: Szkolnictwo na Śląsku polskim w chwili obecnej (Dziennik Ciesz. z 28. VIII. 1920, 1. X. 1920 i 24. IV. 1921).

Uwagi dra Andrzeja Cinciały o Pawle Stalmachu.

Wydał i wstępem poprzedził Ludwik Brożek.

Odrodzenie narodowe Ziemi Cieszyńskiej czeka na swego bezstronnego dziejopisa¹⁾, któryby potrafił, daleki od wszel-

¹⁾ Franciszek Popiołek miał zamiar uzupełnić swoje „Dzieje Śląska“ historią ruchu narodowego

kich uprzedzeń, wskrzesić prawdziwy obraz walk i zasług poszczególnych działaczy lub całych ich grup. Próby, poczynione w tym kierunku, dokonywane dotychczas przeważnie przez samych działaczy, ich ideowych następców lub przy-

jaciół²⁾), nie przedstawiły zgodnie z prawdą dziejową wszystkich zdarzeń, a przez przynależność autorów do tego lub innego obozu i — co za tem idzie — gloryfi-

w Księstwie Cieszyńskim, która jednak z przyczyn od niego niezależnych utknęła. Jednym z powodów odstąpienia od powyższej pracy była niewątpliwie za wczesna pora do traktowania historycznego omawianego ruchu. Oto co sam mówi w roku 1915 o zamierzonym, lecz nie zrealizowanym dziele: „Nie byłoby może właściwem omawiać rozwój ruchu narodowego na podstawie orientacji dotychczasowej; czas i okoliczności mogą zmienić gruntownie stosunki i nakazać zastosowanie innego probierza dla ich oceny.“ — Miesięcznik Pedagogiczny, 1915, 57.

Dziejami odrodzenia narodowego w Cieszyńskim zajmował się szczegółowo ks. J. Londzin i w całym szeregu artykułów i dłuższych prac ogłosił wiele cennych przyczynków z tego zakresu.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje również piękny artykuł dra Romana Dyboskiego, prof. U. J. (Pierwsi pionierzy odrodzenia narodowego na Śląsku Cieszyńskim, Kuryer literacko-naukowy, 1928, 21), do którego jednak wkradły się pewne nieścisłości w ocenie udziału duchowieństwa obydwu wyznań w ruchu narodowym. Gdy uświadomimy sobie, że duchowieństwo katolickie z ks. Antonim Januszem z Zebrzydowic na czele opracowało i wydało polski kancjonał katolicki o wiele pręcej od duchowieństwa ewangelickiego, i że teologowie katolicy w seminarjum ołomunieckim skupiali się koło polskiej biblioteki już gdzieś od roku 1845, wtedy trudno się zgodzić ze zdaniem, że „duchowieństwo protestanckie, dzięki swobodniejszemu porządkowi swych studjów teologicznych, rychlej się zaznaczyło w ruchu narodowym“. — Przypominamy szczegół powyższy dlatego, by zwrócić uwagę czytelnika na trudności, jakie napotyka historyk w pracy nad dziejami ruchu narodowego, w którym przecie brali udział i katolicy i ewangelicy, z różnem jednak nasileniem i powodzeniem.

²⁾ Mamy tu na myśli przebogatą śląską literaturę pamiątnikarsko-wspomnieniową, odnoszącą się w wielkiej mierze i do okresu, o którym mo-

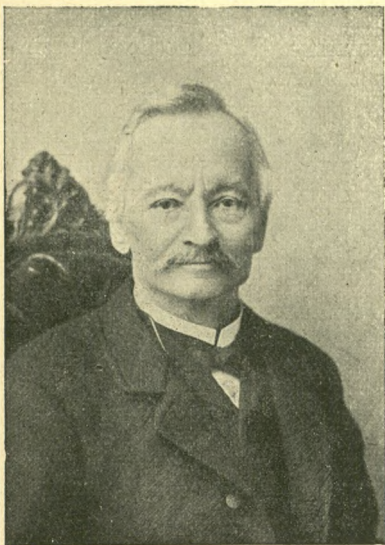
kowanie poszczególnych postaci tegoż, wprowadziły jedynie zamęt, a czasem gorącą polemikę. Ludzie z okresu zesłowiecznego, będącego widownią pracy i walk zarazem, świadkowie i uczestnicy owych zmagañ z wrogiem i sobą, leżą od lat na cmentarzach śląskich. Jedni z owej walki na słowa wyszli zwycięsko, dzięki może nie swym argumentom, opowiadającym o zasługach, lecz dzięki swym następcom, a o drugich w zmienionych warunkach życia narodowego i politycznego przedwcześnie zapomniano.

Do tych drugich należy postać dra Andrzeja Cinciały (ur. w Kozakowicach Górnych 8 czerwca 1825, zm. w Cieszyńsku 18 lutego 1898), notariusza w Cieszyńsku i długoletniego prezesa dawnej cieszyńskiej „Czytelnicy Ludowej“, o którym pamięć szybko poszła w zapomnienie³⁾. Zapomniano również o jego wielkich zasługach około uświadomienia narodowego, zapoczątkowanego walką o prawa językowe. Człowiekiem, około którego sku-

wa. Niektóre tylko rzeczy wyszły oddzielnie, a reszta rozrzucona jest po czasopismach, kalendarzach i wydawnictwach zbiorowych. Wspomnienia swoje i uwagi pisali tu w różnych czasach różni ludzie, a więc księża, nauczyciele, profesorowie, redaktorzy, rolnicy i robotnicy. Osobną grupę tej literatury stanowią wspomnienia osób, które tylko czasowo na Śląsku przebywały i to, co widziały, opisały.

³⁾ O zjawisku przemilczania, jakie spotkało postać dra Cinciały, niech świadczy następujący charakterystyczny szczegół. Po jego śmierci ukazały się w prasie nadzwyczaj krótkie wspomnienia pozgonne, a „Przyjaciel ludu“, wydawany przez ks. Franciszka Michejdę z Nawsia, a więc przez jego osobistego przyjaciela, zamieścił w nrze 4 z dnia 20 lutego 1898 r. nekrolog, obejmujący 14 wierszy, podczas kiedy w tym samym numerze o żonie Jerzego Cinciały z Mistrzowic, Annie, ukazał się nekrolog, obejmujący 53 wierszy! Na owo przemilczanie skarżył się Cinciała jeszcze za życia. Zobacz rozdział „Jako mi też dziękowali“, Pamiątnik, str. 168—169.

piły się wszystkie zasługi całego szeregu narodowców, został dla przyszłych pokoleń Paweł Stalmach⁴⁾. Współzawodnictwo obydwu działaczy w pracy narodowej i antagonizm, jaki na tem tle powstał, datuje się od samych początków ruchu narodowego i przeszedł niejako poza grób. Ostatnim widomym śladem tej przykrewalki jest „Pamiętnik“ dra Andrzeja Cinciały.



Dr. Andrzej Cinciały.

ciały, wydany przez jego wnuka, dra J. St. Bystronia, profesora Uniw. Jagiellońskiego⁵⁾. „Pamiętnik“ wydano w całości,

⁴⁾ Literatura o Pawle Stalmachu jest obszerna. Jego życie i działalność doczekały się nawet monografii oddzielnie wydanych, a wspomnienia o nim i artykuły pojawiają się w prasie śląskiej i pozaśląskiej w całym czterdziestolecu, oddzielającym nas od jego śmierci. Już zresztą za jego życia pojawiły się obszerne życiorysy i sylwety jego działalności (Władysław Ludwik Anczyc, *Paweł Stalmach*, Wiśła — księga zbiorowa ku uczczeniu 25-letniej rocznicy pracy na polu dziennikarskim Pawła Stalmacha, Kraków 1873, str. I—XXVI).

⁵⁾ Pamiętnik dra Andrzeja Cinciały, notariusza w Cieszynie (1825—1898). Wydał i wstępem

a więc z partjami wybitnie bojowemi, zwróconemi głównie przeciwko Stalmachowi⁶⁾. „Wszystko co napisałem — pisze Cinciały⁷⁾ — starałem się poprzeć dowodami, a to z tej przyczyny, ponieważ zgoła na każdym miejscu musiałem zaprzeczyć twierdzeniom lub przechwałkom Stalmacha — że on od a do z na Śląsku wszystko zrobił, a my jemu tylko przeskadzali.“

Dodać przy tej sposobności warto i trzeba, że Stalmach również pisał pod koniec swego życia „Pamiętnik“, którego jednak nie zdołał dokończyć⁸⁾. Spisał swe wspomnienia coprawda tylko do r. 1860, lecz w tekście ich pozostawił cały szereg

zaopatrzył Jan St. Bystron, prof. Uniw. Jagiellońskiego. Katowice — MMCXXXI. Nakładem Muzeum Śląskiego w Katowicach, dział II — nr. 3. 8-ka, str. XII i 200. Z portretem dra A. Cinciały.

⁶⁾ Wydanie powyższe jest drugim zrzędu wydaniem „Pamiętnika“ dra Cinciały. Pierwsze (Z Pamiętnika Dra Andrzeja Cinciały. Wydał: Dr. Jan Bystron, prof. gimn. w Krakowie. Cieszyn 1900. Nakładem „Politycznego Towarzystwa ludowego“ w Cieszynie. Drukiem Kutzera i Sp. w Cieszynie. Wydawnictwo „Politycznego Towarzystwa ludowego“ w Cieszynie, XIX; 8-ka, str. IV i 95 i 1 nlb.), mające służyć aktualnym potrzebom politycznym, nie zawierało całego szeregu ustępów zbyt aktualnych, i zbyt polemicznych. Opuszczono w niem także ustępy, poświęcone Stalmachowi, chociaż ten dawno, pręcej od Cinciały, zmarł.

⁷⁾ Pamiętnik dra A. Cinciały, str. 170.

⁸⁾ „Pamiętniki Pawła Stalmacha“ wydał ks. Emanuel Grim, umieszczając je w swej książce o nim (E. Grim, *Paweł Stalmach, jego życie i działalność w świetle prawdy*, Cieszyn 1910, Nakładem „Dziedzictwa błog. Jana Sarkandra dla ludu polskiego na Śląsku“, Drukiem Kutzera i Sp. w Cieszynie, 8-ka, str. X i 310, z portretem Pawła Stalmacha), jako jej drugą część (str. 129—310). — Byłoby rzeczą wskazaną i pożądaną, by Pa-

ustępów, wybiegających treścią daleko naprzód, bo do lat 1880—1890. Obydwa wymienione pamiętniki są — poza opisaniami młodości — dziełami wybitnie polemicznymi, pisanymi w wielkiej mierze w „obronie własnej“. O portretach psychicznych autorów nie chcę na tem miejscu mówić, bo powstaną one różne u różnych przy czytaniu obydwu pamiętników. Do czytania ich, jako lektury nadzwyczaj ciekawej i interesującej, zachęcamy i zapraszamy bez wyjątku wszystkich...

Na marginesie „Pamiętnika“ dra Cinciały ogłaszamy uwagi jego o Pawle Stalmachu. Są to właściwie *glossy*, w których poruszył on niektóre rzeczy, obszerniej przedstawione w „Pamiętniku“. Forma, bezpośredniość i pewne nowe szczegóły w treści czynią z uwag ciekawe i cenne uzupełnienie „Pamiętnika“, w którym stosunek do Stalmacha nacechowany jest — jak wiadomo — niechęcią, a nawet złośliwością. Ten sam charakter posiadają *glossy*. By zrozumieć istotę antagonizmu i kroczącego z nim w parze sporu, znanego dostatecznie z ważniejszych i ciekawszych dokumentów — z pamiętników, wystarczy przypomnieć, że obydwaj działacze pracowali dla sprawy narodowej i że ich praca często odbywała się na jednej platformie. Od samych początków widzimy ich razem, a więc w czasach gimnazjalnych w łonie „Towarzystwa dla uczących się języka polskiego“, później przy zakładaniu i redagowaniu pierwszego pisma polskiego na Śląsku Cieszyńskim, „Tygodnika Cieszyńskiego“, wreszcie przy założeniu i prowadzeniu „Czytelni Ludowej“. Nadmierna zaś i próżna ambicja, jaka cechowała obydwu, oraz przypisywanie sobie wyłączne zasług około dokonanych dzieł, dla polskości bardzo doniosłych, spowo-

miętnik Stalmacha, uzupełniony jego najważniejszymi pismami polemicznymi w sprawach, dotyczących jego osoby i przypisami, ukazał się w tej samej edycji, co Pamiętnik dra Cinciały.

dowały ów konflikt i gorącą nienawiść do siebie.

Szczególnie zaognionymi były kłótnie w sprawach „Czytelni Ludowej“, które też stały się powodem skreślenia większej części niniejszych uwag. „Czytelnia Ludowa“ w Cieszynie, której dr Cinciała był naówczas prezesem, obchodziła w roku 1887 jubileusz swego 25-letniego istnienia i wydała z tej okazji Pamiętnik⁹⁾, w którym umieszczono specjalny rozdział (8), zatytułowany „W obronie Czytelni“ (str. 40—57), zwrócony przeciwko Stalmachowi. Wydziałowi Czytelni chodziło głównie — jak zaraz na wstępie czytamy — o wyjaśnienie zarzutów, czynionych mu przez redakcję „Gwiazdki Cieszyńskiej“, czyli Pawła Stalmacha, jej redaktora, w sprawach pracy narodowej, oświatowych, finansowych i t. p. „Staraniem mojem — opowiada dr Cinciała¹⁰⁾ — było głównie, aby Stalmachowi odpowiedzieć na jego zaczepki w „Gwiazdce“. Ile razy chciano sprostować artykuły „Gwiazdki“, wymierzone przeciwko Czytelni, opierałem się temu z przyczyny, iż Stalmach sprostowania nie umieści, chyba za interwencją prokuratora, a potem i dlatego, że sprostowanie przebrzmi bez śladu, i odkładałem odpowiedź na później. Uznałem za odpowiednie umieścić artykuł odpowiedniej treści w pamiętniku jubileuszowym Czytelni, który Czytelnia wydać zamierzała. Przewertowałem więc „Gwiazdkę“ od początku do końca i zrobiłem wyciągi z artykułów, pisanych przeciwko Czytelni i innym towarzystwom narodowym, a tych excertów użyłem do artykułu odpowiedniego. Praca ta, nie wiem w jaki sposób, dostała się w manuskrypcie do Krakowa. Uznano atoli przez członków Wydziału

⁹⁾ Pamiętnik Czytelni ludowej w Cieszynie na Śląsku austriackim, wydany z powodu 25-letniego jej jubileuszu. Cieszyn 1887. Nakładem Czytelni ludowej. W drukarni Henryka Feitzingera i Sp. 8-ka, str. 102 i 2 nlb.

¹⁰⁾ Pamiętnik dra A. Cinciały, str. 143—144.

Czytelnik, że artykuł jest za ostry i cytował za dużo, żeby to długie czytanie zniechęciło czytelnika i napisano inny artykuł, na który się zgodziłem, mój zaś artykuł włożyłem do „Pomnika, który sobie Stalmach za życia wystawił“ a raczej do wycinków z „Gwiazdki“, przy których się w



Paweł Stalmach.

manuskrypcie znajduje¹¹⁾. Artykuł, oparty na materiale, dostarczonym przez Cinciałę, oburzył Stalmacha. W całej serii artykułów, ogłoszonych w „Gwiazdce Cieszyńskiej“,

¹¹⁾ „Pomnik, który Paweł Stalmach redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiej“, sobie sam postawił“, jest sporym tomem wycinków z „Gwiazdki Cieszyńskiej“ i rękopisów, oprawnych półsztywno. Pod tytułem dopisał dr Cinciała, jako motto, następujący dwuwiersz: Gdyby był wcześniej umarł, Byłby dłużej żył. Artykuły, dotyczące Czytelnik i innych towarzystw, które ukazały się w „Gwiazdce“ w latach 1883—1887, zebrał Cinciała w wycinkach, a wszystkie poprzednie przepisał i dołączył do zbioru w formie fascykułu, zatytułowanego „Excerpta Tygodnika Cieszyńskiego i Gwiazdki Cieszyńskiej“. Prócz tego dołączył do tomu swój

„Cieszyńskiej“, prostował i tłumaczył zarzuty, wytoczone mu przez Wydział Czytelnik Ludowej¹²⁾. Obroną swą wydał również w formie osobnej odbitki¹³⁾, widocznie w tym celu, by nie znikła w tomach „Gwiazdki“. Broszurka niniejsza doszła również do rąk dra Cinciały, który przy jej czytaniu numerował sobie poszczególne ustępy (1—25). W siedm lat później (1894) wszedł na koniec broszurki dziesięć kartek tej samej wielkości co ona i spisał na nich „Uwagi ze strony przeciwnej“, numerując je w tym samym porządku, jak to uczynił w poszczególnych ustępach tekstu „Obronę“ Stalmacha. Wydaliśmy je bez zmiany (I), poprzedzając poszczególne ustępy odpowiednimi ustępami Stalmacha, względnie ich bardzo obszernymi streszczeniami, przez co zrozumienie ich stanie się łatwiejsze, a związek jednych z drugimi przejrzysty. Objaśnień nie dawaliśmy, bo czytelnik po przeczytaniu „Pamiętników“ zorientuje się dobrze w całości. Co do grupy osób, którą Stalmach nazywa kliką, można się zgodzić z objaśnieniem Cinciały¹⁴⁾, że „wszystkich narodowców prócz siebie do niej zaliczał“.

obszerny artykuł, obejmujący 44 stron arkusza handlowego, przeznaczony pierwotnie do „Pamiętnika Czytelnik“. Artykuł ten nosi tytuł: „Nasz nieprzyjaciel“, a zaopatrzony jest cytatem z Biblii: „A po owocach ich poznacie je“. — „Pomnik“ znajduje się dziś w tej części zbiorów Cinciały (*Silesiaca*), które znalazły się w bibliotece Czytelnik Ludowej, będącej dziś własnością Zarządu Głównego Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego w Cieszynie.

¹²⁾ Paweł Stalmach, W obronie własnej, Do datków do „Gwiazdki Cieszyńskiej“, nr 44 (str. 441 do 448) i 45 (str. 457—463) z r. 1887.

¹³⁾ (Paweł Stalmach:) W obronie własnej. Odpowiedź Wydziałowi Czytelnik ludowej w Cieszynie od Redakcji „Gwiazdki Cieszyńskiej“. Cieszyn 1887. Drukarnia Karola Prochaski. 8-ka, str. 48.

¹⁴⁾ Pamiętnik dra Cinciały, str. 167.

W r. 1891, dnia 15 listopada o godzinie 1 w nocy, zmarł Paweł Stalmach. „Gwiazdka Cieszyńska“ zamieściła w grudniu tegoż roku obszerny jego życiorys¹⁵⁾, który dr Cinciała w wycinkach związał w broszurę i podobnie z nim postąpił, jak z „Obroną własną“ Stalmacha. Ponumerował na marginesie szereg ustępów (1—15), do których później, w roku 1894, dorzucił swe uwagi (II). Nawet powaga śmierci nie przerwała polemiki...

W opublikowaniu „Uwag do nekrologu Pawła Stalmacha“ postąpiliśmy tak samo, jak przy „Uwagach ze strony przeciwnej“, to znaczy poprzedziliśmy każdą uwagę odnośnym ustępem nekrologu, przedrukowując go petitem.

Uwagi dra A. Cinciały o Pawle Stalmachu posiadają dziś — po latach — wartość dokumentu. Wydostaliśmy je na światło dzienne ze zbiorów dawnej Czytelni Ludowej, gdzie złożył je sam autor, i ogłaszamy, by uzupełnić w niejednym jego „Pamiętnik“. Nie wchodzimy w bliższą ocenę uwag, a raczej słuchamy tylko ich kłótni, śmiesznych i naiwnych czasem plotek, oraz kłopotów. Patrzymy na ludzi, którzy je pisali, jako na „ludzi żywych“. Wypowiedzieli się obaj w sposób bezwzględny w sprawach, dotyczących ukochanego dzieła całkowitego ich życia. Po czyjej zaś stronie znajduje się racja, a po czyjej gołosłowna obrona, o tem zadecyduje przyszły historyk¹⁶⁾.

Cieszyn, w czerwcu 1932.

L. B.

¹⁵⁾ Krótki rys życia ś. p. Pawła Stalmacha, Gwiazdka Cieszyńska, 1891, str. 485—487, 497—498, 507—508. Autorem życiorysu był prawdopodobnie ks. Ignacy Świeży, lub też ks. Józef Londzin.

¹⁶⁾ Za wypożyczenie klisz, przedstawiających Cinciałę i Stalmacha, oraz niektóre ze wzmiankowanych w „Uwagach“ postaci, dziękujemy na tem miejscu uprzejmie Towarzystwu Ewangelickiemu w Cieszynie.

I.

UWAGI ZE STRONY PRZECIWNEJ.

Wydział Czytelni Ludowej w Cieszynie wydał Pamiętnik tejże Czytelni z powodu 25-letniego jej jubileuszu. Byłby pożądanym taki Pamiętnik, gdyby z prawdą się zgadzał, a nadto gdyby nie zawierał w sobie surowego pamfletu przeciwko redakcji Gwiazdki Cieszyńskiej. Dla czego zaś Wydział Czytelni wydał taki pamflet? niech teraz czytelnik bada i przekonuje się.

Wydział Czytelni Ludowej nie przemawia tylko w imieniu tejże Czytelni, ale raczej ogólnie w imieniu tak zwanej „klikki“, z którą się też solidaryzuje. A czem jest ta klika, widzimy to najlepiej na towarzystwach, które ona wyjątkowo stworzyła lub opanowała. — Stworzyła przed trzema laty „polityczne towarzystwo ludowe“, a gdzież jest to towarzystwo? co robi? kiedy tyle na Śląsku jest do działania! Stworzyła „Bazar Cieszyński“, a jakże stoi ten Bazar? do czegoż tu gospodarka klikki doprowadziła? — Opanowała „Czytelnię ludową“ w Cieszynie, która miała być dźwignią narodowości polskiej na Śląsku, ale skutkiem tego opanowania nie wydaje z siebie życia. Innym towarzystwom, których klika nie mogła ośwładać, daje się ona jednak we znaki.

Wydział Czytelni Ludowej w Pamiętniku usiłuje wmówić komuś nadewszystko: że „Gwiazdka“ lub jej redaktor Stalmach działał przeciwko Czytelni, — kiedy redaktor tylko złe kierownictwo i zły zarząd Czytelni ganił i ganić musiał... Redaktor „Gwiazdki“ słusznie uważa też Czytelnię Ludową za swój utwór, za swoje dziecko, jak się następnie wykaże, bo ją istotnie swoją pracą i swą ofiarą utworzył, dlatego nie mógł być lub działać przeciwko niej, bo żaden ojciec nie jest przeciw swemu dziecku...

W niniejszej broszurce chciał się Stalmach bronić przeciwko Wydziałowi Czytelni Ludowej w Cieszynie, a właściwie przeciw artykułowi „w obronie Czytelni“, umieszczonemu w „Pamiętniku Czytelni Ludowej“, wydanym z powodu 25-letniego jubileuszu w roku 1887. W tej swojej obronie nie powiedział nic więcej, czegoby już kilkakrotnie w „Gwiazdce“ nie był omówił i nie potrafił udowodnić, by choć jeden przez Wydział Czytelni przytoczony fakt był nieprawdziwym, i by opierał się na fałszu. Byłaby się też niniejsza „własna obrona“ z Czytelnią zaraz skończyła, gdyby Stalmach nie był przeniósł pola walki na inne towarzystwa

narodowe i przybrał za swego przeciwnika ową nieśmiertelną klikę, o której on tylko wiedział, którą on wypielegnował, i która mu tyle razy służyła za piedestał, gdy pisał o swoich czynach i zasługach około narodowości polskiej na Śląsku. To też zaraz na pierwszej stronie wytacza na widownię „polityczne towarzystwo ludowe“, „Bazar Cieszyński“, chociaż tym towarzystwom oddawna w „Gwiazdce“ podobnie dokuczał, jak Czytelni.

„Obrona Czytelni“ uskarża się, że Stalmach w swojej „Gwiazdce“ działał i pisał przeciwko Czytelni, i wszystko to, co „Obrona“ powiada, udowadnia zaraz dosłownymi cytatami z „Gwiazdki“, podając numer, stronicę i rok, gdzie się cytat znajduje. I cóż miał Stalmach na to w swojej „własnej obronie“ powiedzieć? nie mógł się zaprzecć, że tego nie pisał, że to nie stoi w „Gwiazdce“; pisał więc w własnej obronie, co mu ślina na język przyniosła przeciwko wszystkim i wszystkiemu.

W obronie Stalmachowej niema nic *nowego*, wyjąwszy bardzo gwałtownych wycieczek przeciwko mnie, Drowi Cinciale, który byłem wtedy Prezesem Czytelni a mianowicie za to, że został umieszczony artykuł „W obronie Czytelni“ przeciwko niemu. Biorę tedy pióro do ręki, aby króciuchnym sposobem sprostować choć kilka rażących ustępów tego nieśmiertelnego dzieła.

2.

...w wydziale „pracowali wszyscy!“ Ale jak pracowali? Oto tak: że dr Klucki i dr Fischer ledwo na posiedzenia wydziałowe przychodzili, a dr Cinciała jako sekretarz ledwo protokół spisał.

Inicjatywie mojej, pracy i ofiarom pieniężnym w celu założenia Czytelni Ludowej odważa się dziś Wydział zaprzeczać. Tak śmiać dziś odzywać się dr Michejda, dr Dybka, Filasiewicz i t. d., którzy wówczas ani Cieszyna nie znali, lub dziećmiami byli, a teraz mówią, jak ich klika wyuczyła.

I dr Cinciała, ówczesny sekretarz, a dzisiejszy prezes, naoczny świadek moich starań i pracy, odważa się także wszystkiemu zaprzeczać! Mogę

dziś jemu i każdemu innemu przedłożyć wykazy darów, wynoszących w roku 1861 i 1862 oprócz książek, kilka set złr., które na moje ręce przychodziły, dlatego, że ja prosiłem, a nie on lub kto inny. A jakże dr Cinciała sekretarował?

Stalmach dał początek wszystkiemu, on wszystko zrobił, a wszyscy inni mu tylko przeszkadzali. On zrobił statut Czytelni, on dał pieniądze, książek i t. p.! Dr Klucki i dr Fischer ledwo przychodzili na posiedzenia, a dr Cinciała ledwo protokół spisał. A jak on to sekretarował? Otóż same przechwałki i niewiele więcej. Ja byłem sekretarzem i kasjerem, a jak te urzędy sprawowałem, to wykażą księgi *protokołów i rachunków*, znajdujące się w archiwum Czytelni. Zdaje mi się, że je dobrze sprawowałem.

3.

W r. 1863, z powodu ówczesnego powstania, co każdy łatwo pojmie, ustała owa możliwość ofiar zpoza Śląska, mimo to jednak prawie na każdym posiedzeniu wydziału interpelowali mnie prezes dr Klucki i sekretarz dr Cinciała, abym się starał dalej o zasiłki pieniężne. Chcieli tedy pieniądze ode mnie!

Chcieli tylko pieniędzy odemnie, a przecież Stalmach sam przyznaje na innym miejscu, że był zupełnie goły (str. 35):

Z mojej strony nie wstydę się wyznać, że co do utrzymania „Gwiazdki“, znajdowałem się nieraz w pieniężnych dolegliwościach. Ze utrzymanie pisma czasowego jest kosztownem i trudnem, to światli czytelnicy rozumieją. Indziej są spółki lub towarzystwa, które utrzymują czasopismo albo dziennik; tu znowu musiałem ja sam mieć tę troskę dla kraju.

Dlaczegoż porzucił Stalmach Kluckiego?

4.

Dr Cinciała jako sekretarz, mający także obowiązek kasjerski, t. j. wybieranie wkładek rocznych i upominanie członków o takowe, zaniedbywał swoją powinność i dokazał tyle, że Czytelnia już w tym roku (1863) miała mały deficyt, — z jego winy a bez konieczności. Pamiętnik to zataja, natomiast dr Cinciała lubi dzisiaj, gdy pisma polskie głoszą: że on sam prawie założył Czytelnię Ludową. A więc „nie zasłużony, lecz szczęśliwy bierze“.

Które pisma? nie trafiło mi się nigdy coś podobnego o sobie czytać, wyjąwszy wycieczki przeciwko mnie w „Gwiazdce“.

5.

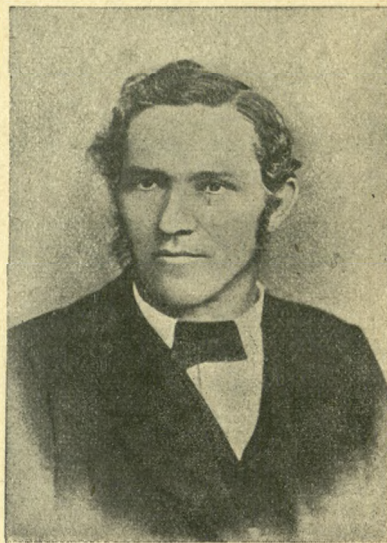
Akcja Jana Sliwki, nauczyciela ewangelickiej szkoły ludowej, wybranego do wydziału i za sekretarza, skierowana przeciwko katolikom, była ciosem dla serca mojego; bo unikając zawsze różnicy wyznaniowej, mając jedynie cel narodowy przed oczyma, obstawając za wspólnością obu wyznań w sprawie narodowej dla wytworzenia większej siły, nie mogłem więc obojętnie przyjąć tak przeciwnego zdania.

Jest zupełną nieprawdą, iż Stalmach starał się zawsze łączyć katolików i ewangelików. On blisko od samego początku czynności swojej na Śląsku nie łączył, ale dzielił. W zbiorze listów do mnie pisanych, znajdujących się w bibliotece Silesiaca, znajduje się list z pierwszych czasów ruchu narodowego na Śląsku od radcy dworu Bujaka ze Lwowa, który stawia Stalmacha w właściwym świetle; — a gdy założono katolicką czytelnię w Jabłonkowie, a po krótkim czasie jej istnienia ewangelicy się starali, aby przydomek „katolicka“ zniesiono, tak, aby i oni (ewangelicy) mogli do tej czytelni uczęszczać, pisał Stalmach: „wiktoria“, „zwycięstwo“ w artykule „Gwiazdki“ — „przecież katolicy zwyciężyli“ i t. p. On zachwalał także zakładanie kółek rolniczych katolickich. Według mojego przekonania przyczynił się Stalmach do rozdzielenia katolików i ewangelików, a toby mi było łatwo z „Gwiazdki“ samej udowodnić, gdybym się teraz nie ograniczał tylko na zbijaniu oczywistych fałszów i przekręcań Stalmachowskich.

6.

Kiedy zabawy, wskutek rozpoczętej przeciw nim walki ustawały, wtedy i pozyskani już dla „polskiej“ Czytelni Ludowej mieszczanie oddalali się od niej, szukając niemieckich zabaw. Nerozumiejący tej sprawy zarząd Czytelni (nie Czytelnia!) więc sam podawał mieszczaństwo na pastwę germanizacji. A gdyby nie ten grzech Zarządu Czytelni — jak wiele bylibyśmy od owego czasu pozyskali sił z mieszczaństwa!

A więc Czytelnia podawała mieszczaństwo na pastwę germanizacji! A to jest prawdziwe salto mortale! Kiedy Stalmach wszystko potrafił zrobić i zrobił, a skoro miał i pismo „Gwiazdkę“ do pomocy, dlaczegoż nie ratował mieszczaństwa przed germanizacją, które to mieszczaństwo już wtenczas było niemieckie lub zgermanizowane.



Jan Sliwka.

7.

Obok walki przeciw zabawom i przedstawieniom amatorskim, umiał Sliwka ubić dwa ważne projekta moje w celu wzmocnienia narodowości. Temi projektami były: zakładanie przez Czytelnię Ludową cieszyńską w innych gminach czytelni z bibliotekami — i zbieranie funduszu na „dom narodowy“ z salą dla zabaw i teatru. Naturalnie już dla przytoczonych wyżej powodów (wyznaniowych) nie mógł Sliwka na te projekta się zgodzić, potrafił innych, małomyślnych członków wydziału niechęcią i nieufnością do tych planów napędzić, a wreszcie uniemożliwić te projekta sprowadzeniem letargu i zakłopotania finansowego w Czytelni.

Wątpię, aby te dwa projekta były Stalmachowemi, i jeszcze bardziej wątpię, aby je Sliwka był ubił. Sliwka był wpraw-

dzie człowiek zawzięty, uparty tak jak Stalmach, ale był dobrym narodowcem i niejedno zrobił, a przeciw tym projektom i zabawom pewnie się nie oświadczył. Nieprawdą też jest, że Stalmach chciał zakładać czytelnice po wsiach, bo jakem z nim o tej rzeczy mówił, zrobił uwagę, że przez to nasza Czytelnia Cieszyńska upadnie, a w sprawach Domu narodowego był Stalmach wielkim przeciwnikiem tegoż i dopuścił się nawet czynu karygodnego, bo gdy Cięciel z Krakowa przysłał na jego ręce 50 reńskich, z których połowę przeznaczył na Macierz, a połowę na Dom narodowy, on tę kwotę 25 r. oddał domu katolickiemu Sarkandra, a nie domu narodowemu, który ma służyć tak katolikom jak ewangielikom.

8.

Pewnego razu (1865 r.) przybyli niespodzianie prezes dr Fischer i sekretarz Śliwka w poobiedniej godzinie do Czytelni i kłócili się z amatorami, zakazując im przedstawienia, na które się ci właśnie przygotowali. Przyszedszy na to, pytam o przyczynę ich zakazu; odpowiadają: „iżby się co stać mogło.“ — I t. d.

Że się tak po śląsku wyrażę: prawdziwe babskie drzysty.

9.

Kiedy w pierwszych dwóch latach istnienia Czytelni Ludowej czytano z jej biblioteki po półtoratisięcy (1500) książek, to wobec tego bardzo smutnem jest to, gdy sprawozdanie z ostatniego roku, umieszczone w Pamiętniku, wykazuje tylko 463 książek wypożyczonych...

Wątpię, żeby Czytelnia w 1 i 2 roku swego istnienia była miała 1.500 poczytnych książek polskich, a gdy szczupła dopiero biblioteczka czytelni miała oprócz polskich i czeskie, słowackie, serbskie i t. p. książki, tedy liczba ta jest przesadzona.

10.

Ks. prałat Karol Teliga z Krakowa ofiarował swą bibliotekę Czytelni Ludowej. Przez ośm lat po jej przysłaniu spoczywała cała biblioteka po kątach w pakach nietkniętych tak, jak była na-

desłaną. Mogę pokazać listy ś. p. Teligi, w których wyrażał swoje „bolesne wrażenie i żmartenie“, że jego „szczery zamiar został zwichnięty i cały dar jego z lekceważeniem puszczone w poniewierkę“... Dodaję, że ś. p. ksiądz Teliga nadmieniał mi także o pieniężnych dotacjach dla tej biblioteki, ale zapewne wskutek zniechęcenia przez takie postąpienie wydziału, zmienił potem swoje postanowienie...

Jeden taki list czytałem, była to odpowiedź na list Stalmachów, a z niego widziałem, jak tam Stalmach omalował Wydział — tak, że gdyby to była prawda, co Stalmach pisał, ks. Teliga byłby miał słuszny powód do zażaleń wskutek takich oszczerstw; ks. Teliga cofnął swój zamiar wyposażenia swej biblioteki i dania jakiego funduszu na utrzymanie tejże, a Czytelnia z własnego majątku, czyli ze swych dochodów, musi utrzymywać tę bibliotekę.

11.

Pewnego razu znajduję w Czytelni kupę pism i druków, które przeznaczono do śmieci. Z pomiędzy tych wydobywam dużą księgę; była to „mapa Polski“, składająca się z kilkadziesiąt kart i kosztująca kilkadziesiąt reńskich, którą ksiądz Czartoryski w Paryżu wydał i egzemplarz ten wraz z innymi książkami dla redakcji „Gwiazdki“ ofiarował, a które ja przy założeniu Czytelni dla tejże przeznaczyłem. Zwracam na to uwagę i odpowiadają mi: to śmieci, co tam jakiś atlas niepotrzebny. — Bójcie się Boga, mówię, to kosztowne dzieło, musi być zachowane!

Musiała to być wielka kupa śmieci, kiedy potrafiła przykryć taki wielki foljant.

12.

Fundusz żelazny, rozpoczęty ofiarowaną 20-reńską obligacją przy założeniu Czytelni, w pierwszych latach nie mógł wzrastać dlatego, iż zbieraniu funduszu przeciwnymi byli tacy członkowie wydziału, z którymi się dzisiejszy wydział solidaryzuje. Sam wówczas podawałem projekt pomnażania tego funduszu, aby z jego pomocą umożliwić założenie „domu narodowego“; lecz niechęć przeciwników oparła się temu i wołała ubezwładnić Czytelnię, aby tylko projekt ten nie przyszedł do skutku, — bo był projektem redaktora „Gwiazdki Cieszyńskiej“. Gdy jednak w r. 1866 nadarzyła się możność, rozpocząłem składki na ten cel i włożyłem pewną kwotę do kasy oszczędności. Kwota ta nie jest w Pamiętniku uwidocznią...

Obligację pożyczki narodowej na 20 złr. darował dr Ludwik Klucki, prezes Czytelni. O tem nie wspomina Stalmach z przyczyn blisko leżących. Nikt się nie sprzeciwiał pomnażania tego funduszu, a Stalmach też dla niego nic nie uczynił. Podświadczeń na datki nikt nie dostawał, a datki się nie straciły, tylko Stalmachowe znikły — bo ich nie było.

13.

Zaraz po założeniu Czytelni Ludowej zaprojektowałem założenie „domu narodowego“, by w nim dla Czytelni stałe pomieszczenie zapewnić, salę dla przedstawień amatorskich, zabaw i zgromadzeń urzędzić, oraz inne spodziewane towarzystwa pomieścić. Podałem także sposoby zebrania funduszu na ten cel. Lecz jak już nadmieniałem, niechęć i zazdrość wyrabiającej się kliki udaremniła ten zamiar. Czysto narodowa myśl została zwichniętą.

Po latach przystąpiono do założenia „Domu handlowego“. Skoro jednak przedsiębiorcom w samym początku groził upadek, iż dla braku zaufania nie mogli uzyskać żadnych spółników, — wtedy, bojąc się, iżby ich klęska stała się plamą narodową, dałem się nakłonić do pomocy. Żądali przede mną uzyskania *pieniędzy*, i dopomogłem, że mogli odbudować dom i stworzyli „Bazar Cieszyński“ w 1873 roku. Lecz gdy widziałem nieład w całej sprawie i domagałem się porządnego jej prowadzenia, doznałem najsroźszej niewdzięczności...

Byłem od początku Czytelni 1861 aż do 15 listopada 1865 członkiem Wydziału tejże, i nie słyszałem nigdy od Stalmacha lub kogo innego, iż Stalmach zaprojektował założenie Domu narodowego; nie słyszałem tego ani zaraz po założeniu Czytelni, ani też później. Stalmach też nie pisze, komu lub przed kim zaproponował — ani też nie powiada, komu podał sposoby zebrania funduszu na ten cel. Gdy w późniejszych czasach powstała myśl założenia domu narodowego, czyli właściwiej Bazaru, dał też Stalmach 100 reńskich na ten cel jako pożyczkę, ale gdy nie widział wielkich korzyści z tego przedsiębiorstwa, wycofał swoją setkę, a to była ta „najsroźsza niewdzięczność“.

14.

Klika pomyślała o „Domie narodowym“ i utworzyła „Towarzystwo Domu Narodowego“, które ma przejąć dom Spółki Bazaru Cieszyńskiego i teże ocalić. Atoli dziś myśl o takim Domu narodowym jest zapóźna, gdyż katolicy wskutek doznawanych od kliky niechęci, odłączając się, wybudowali osobno już swój dom narodowy dla katolickich stowarzyszeń.

Z tego widać, że Stalmach zalicza do tej kliky tylko ewangelików. Dodać muszę, że na budowę domu katolickiego wzięto fundusze Sarkandra, a że biskup Wrocławski dał 25000 reńskich na tę budowę, zaś katolicy żadnych składek nie zbierali na ten dom. Zresztą zarząd tego domu katolickiego, który Stalmach domem narodowym katolickim nazywa, chciał sprzedać w roku 1893 ten swój dom Czytelni. Przy wyborach do Wydziału czytelni miano jedynie na oku, aby wybrać ludzi najzdadniejszych, nigdy zaś nie brano względu na wyznanie religijne. Stąd raz mieli większość katolicy, drugi raz ewangelicy. Gdy zaś do kliky zalicza Stalmach tylko ewangelików i obwinia ich (to jest klikę), że sprowadzili upadek czytelni i zastój w sprawach narodowych, dlaczego nie zwala tej winy także i na katolików, którzy rządzą czytelnią?

15.

Gdy wieści o wielkiem zadłużeniu Czytelni Ludowej mnożyły się i zgoła wszelkie życie w niej ustało, a nadmiar złego wydział nawet przez kilka lat nie zwołał rocznego zgromadzenia, powstało wielkie niezadowolenie między jej członkami troskliwymi.

Wtedy dr Cinciała sam oburzał się na zarząd Czytelni, i przychodził do mnie, wzywając mnie, abym spowodował zmianę w celu ratowania Czytelni, żeby nie upadła.

...a teraz, jako dzisiejszy prezes Czytelni, ogłasza pamflet przeciwko mnie: że ja działałem przeciwko Czytelni, lub że czynię jej przeszkody, że Czytelnia jest celem pocisków „Gwiazdki Cieszyńskiej“, jako niemiłej sobie instytucji i t. d.

„Nic łatwiejszego, jak usunąć wydział.“ Z przyczyny więc powyższych nalegań uczyniłem to. Stało się to dnia 7 maja 1882.

...nowy wydział zażądał odemnie pieniędzy dla ratowania Czytelni i wybawienia jej z długów.

Wskutek listów moich, pisanych do Rodaków i artykułów w „Gwiazdce Cieszyńskiej“, uzyskała istotnie Czytelnia parę set reńskich.

Że gospodarka w Czytelni była haniebna, to prawda, ale krzykiem, jaki Stalmach w „Gwiazdce“ wyprawiał, nie dało się nic naprawić, owszem, tym krzykiem zniechęcało się członków Czytelni. Wiem o tem, i kilka razy przy sposobności mówiłem ze Stalmachem o tych stosunkach, ale żadnej rady nie dawałem Stalmachowi, co ma czynić.

Jest nieprawdą, że ja ogłosiłem w Pamiętniku pamflet przeciwko Stalmachowi, bo ja nie wydałem Pamiętnika, tylko Wydział, a w „obronie“ nie ja występuję, tylko Wydział.

„Nic łatwiejszego, jak usunąć wydział, uczyniłem to“ — mówi Stalmach. Jaka to przechwałka! Kiedy więc Stalmach był taki wpływowy i silny, to mógł całą klikę jednym zamachem powalić.

Było to życzeniem Stalmacha, abym przyjął wybór do Wydziału w Czytelni; chodziło mu podobnie więcej o to, aby mógł na mnie jeździć, niż o samą Czytelnię. Oświadczyłem mu, że przyjmę wybór, jeżeli wspólnie razem będziemy pracować nad podniesieniem Czytelni, a że Czytelnia miała wtedy dużo długów, tedy przede wszystkim trzeba się było starać o zapłacie takich. Stalmach zaczął w „Gwiazdce“ machać, ale się to wnet skończyło; nie przysporzył ani pieniędzy, ani członków, ale zato z podwójną wściekłością wpadał na Czytelnię.

16.

...gdy zbliżała się jesienna pora, w której miały się rozpocząć owe zabawy, oświadczył dr Cinciała, że wydział już wynajął salę dla tancmistrzyni (niemki) na całą zimę.

Sala przynosiła za mojego prezesostwa około 100 reńskich za jesień od Szaurekowej, co było znacznym dochodem.

Nauka tańców, którą udzielała Szaurekowa, nie była żadną przeszkodą zabawom przez Wydział urządzanym, bo w odpowiednim dniu nie było nauki tańców.

17.

...dlaczegoż dr Cinciała wraz z wydziałem ode mnie żądał starania o uzyskanie pomocnych ofiar? — Bo to łatwiej posługiwać się cudzą pracą; bo wygodniej zasiąść do przygotowanej miski. I otóż to tacy są „narodowcy przy misce“.

Może też dr. Cinciała i jego współnikom chodziło tylko o to, aby oni zasiedli przy gotowym stole, zamiast innych. Ten zaszczyt jednak dr Cinciała nabył zbyt tanio, jeżeli się tylko tem chępniej może, że w czasie jubileuszu darował Czytelni 100 zlr.

Nie 100 ale 200 reń. przy jubileuszu darowałem Czytelni, aby i innych do darowań zachęcić. A cóż Stalmach dał? Ani na jubileusz nie przyszedł i mówi, że się tym datkiem chępniej. Ja na Czytelnię podczas mojego 9-letniego prezesostwa wydałem około 800 reń. z mojego majątku gotówką; ale u Stalmacha wszystko to nic nie znaczy, bo on sam wszystko zdziałał, a wszyscy inni mu tylko w pracy przeskadzali.

Co do miski narodowej, o której Stalmach już często napomykał, to można powiedzieć, że ta była u Stalmacha. On ciągle na „Gwiazdkę“ żebrał, a co wyzebrał, w pieniądzech i artykułach, to szło tylko na jego korzyść, to on zużył (na stronie 35 przyznaje się, iż co do utrzymania „Gwiazdki“ znajdował się nieraz w pieniężnych dolegliwościach) i spotrzebował, a gdyby kto twierdził, że to wyszło i na naszą korzyść, to mu odpowiem, że tej korzyści było dla Ślązaków bardzo mało w „Gwiazdce“ i żeśmy tę korzyść prenumeratą podwójnie zapłacili.

18.

...dr Cinciała, dopóki go nie wy kierowałem na prezesa, nie zgadzał się z jej (Czytelni) kierownictwem, chociaż teraz też zeszedł na drogę wsteczną kliki.

Stalmach mię nie wy kierował na prezesa Czytelni i nie dopomógł mi „do tej upragnionej godności“. Stalmach bowiem nie wybierał ani Wydziału, ani prezesa. Według Statutu wybiera walne zgromadzenie Wydział, a członkowie Wydziału wybierają z pośród siebie prezesa. Godności tej musiałem nie bardzo pragnąć, gdyż na Walnem zebraniu dnia 7 Maja 1882, zostawszy wybrany do Wydziału, zrzekłem się tej godności, a dopiero przy drugim głosowaniu, gdy znów wybrany zostałem i gdy na mnie nalegano, przyjąłem wybór. (Patrz prot. Czytelni z dnia 7 Maja 1882).

19.

Faktem jest, że przy założeniu Czytelni (1861 r.) przyrzekłem i dawałem bezpłatnie dla niej czasopisma (w liczbie 60). Ale w tej sprawie dopuszcza się wydział wielkiego fałszu, gdy w Pamiętniku mówi, że potem w roku 1864 zażądałem wynagrodzenia 100 złr. rocznie za te gazety.

Wyjęte z prot. Czytelni.

Rzecz tak się miała. Gwiazdka Cieszyńska miała przez niejaki czas debit w państwie rosyjskiem, co mnie stawiało w pomyślnem położeniu i mogłem pomyśleć o założeniu Czytelni. Ale ten debit ustał w r. 1863 z powodu powstania polskiego. Nie tylko ten uszczerbek, ale jeszcze druga okoliczność wyczerpała moje siły.

Czego wówczas nie mogłem publikować, mogę teraz śmiało powiedzieć. Ową okolicznością było, że liczni Polacy z zachodnich krajów Europy, dążący do powstania, albo później chroniący się znowu na zachód, przechodzili przez Cieszyn, a byli to zwykle ludzie potrzebni, i znali tylko mój adres, jako redaktora. Nie śmiałem ich zatrzymywać, tylko trzeba było zawsze kilkoma reńskimi ułatwić im dalszą podróż. Tak działo się często dzień po dniu, a nie mogłem się do nikogo udać po jaką ofiarę na ten cel. Raz bowiem, będąc prawie bez grosza, chcąc kilku takich przechodniów szybko ekspedjować, udałem się z wezwaniem do tutejszych narodowców, lecz główniejsi wręcz odmówili, jeden rzekł: o tem nie chcę wiedzieć, drugi: na to nic nie dam i. t. p.; tylko niektórzy biedniejsi dali po 10 lub centów, i zebrałem ledwo kilkadziesiąt centów. Wobec takiego patryjotyzmu naszych koryfeuszów narodowych, nie czyniłem już więcej podobnej próby. Wypożyczyłem sobie raczej w takiej potrzebie, lecz powstanie przeciągało się, potrzeba

ta nie ustawała, i ja znalazłem się w trudnem położeniu tak, że obawiałem się o dalszy byt Gwiazdki.

W tem położeniu spodziewałem się, że wydział Czytelni uzna konieczność wsparcia dla Gwiazdki. Przedstawiłem mu powyżej opowiedziane powody, i powiedziałem, żeby Czytelnia mogła Gwiazdkę jednorazowym datkiem 100 złr. poratować, bo jakby Gwiazdka upadła, to i Czytelnia się nie utrzyma; wreszcie oświadczyłem, że będę się starał, aby Czytelni ten datek jednorazowy się wynagrodził, a że datek ten musiałby być pod jakimś imieniem w sprawozdaniu wyszczególnionym, dodałem, żeby mógł być jako „wynagrodzenie za gazety“ zapisany. — Lecz ówczesni członkowie wydziału, jak mało się o Czytelnię troszczyli, tak mało też o byt Gwiazdki dbali i owej jednorazowej pomocy odmówili; więc ja też widząc ich nieżyczliwość, zaraz oświadczyłem, że nic nie żądam. Następnie zapisali wprawdzie w protokole i to już przeciwko mej woli, że będą myśleć o tej pomocy, lecz zapisali tylko, aby zapisaniem było, a ja pomogłem sobie sam*).

20.

Po takich doświadczeniach jak powyższe, nie udawałem się po pomoc albo poratunek nigdy do owych przechwalanych narodowców i wogóle do osób przezacnej klikki; znaleźli się lepsi patryjoci i narodowcy.

O wsparcie na „Gwiazdkę“ nie udawał się Stalmach do naszych narodowców, ale do innych patryjotów, bo w pierwszym razie byliby dawcy zaprowadzili jakąś kontrolę, czy grosz publiczny, dany na szerzenie oświaty i budzenie narodowego poczucia na Śląsku jest w należyty sposób użyty. (Dodatek do miski narodowej z poprzedniej stronicy.)

*) Dr Cinciała zakwestjonował ustęp Stalmacha (drukowany petitem tuż pod 19), powołując się krótko na *protokół Czytelni*, który istotnie mówi o wynagrodzeniu, żądaniem przez Stalmacha za gazety. Oddaję w tym wypadku głos Stalmachowi, który tłumaczy obszernie swoje żądanie, zaczynając od słów: „Rzecz tak się miała...“ (W obronie własnej, str. 33—35). Umieściłem ustęp powyższy także dlatego, bo jest on jakgdyby usprawiedliwieniem na zarzuty, z którymi spotka się Stalmach ze strony Cinciały nawet po swej śmierci (Uwagi do nekrologu Pawła Stalmacha, ustęp 11). — Przy pisek wydawcy.

21.

Jak obecny wydział, w szczególności jego prezes dr Cinciała dopiął tego zaszczytu (w r. 1882), opowiedziałem już. (Zobacz 18-tą uwagę Cinciały.) Dopomogłem dr. Cinciale do upragnionej godności, i poleciłem nazywając go jednym z założycieli Czytelni; koilem się bowiem nadzieją, że zechce on uczynić Czytelnię znowu dźwignią narodowości polskiej, jak jej przy założeniu wytknięto; lecz zawiódł zupełnie oczekiwanie. Zamiast pracą na tem polu, wyszczególnia się dr Cinciała samochwalstwem. Daje o sobie głosić w czasopismach, że on prawie sam jeden założył Czytelnię Ludową...

Stalmach nie potrzebował mię niby z łaski nazwać jednym z założycieli Czytelni, bom nim rzeczywiście był. — Stalmachowe oczekiwanie może zawiódłem, ale nigdy nie zrobiłem zawodu sprawie narodowej i położonemu we mnie zaufaniu.

W żadnych czasopismach nie dałem o sobie głosić, że prawie sam jeden Czytelnię założyłem, boby to była nieprawda, tak, jak że sam Stalmach Czytelnię założył.

22.

W Pamiętniku dr Cinciała chwali się następującymi zasługami: Opowiada on o założeniu w r. 1847 Towarzystwa uczniów na ewang. gimnazjum w Cieszynie celem uczenia się języka polskiego, do którego on należał i które trwało do r. 1850. Nazywa on to towarzystwo pierwszym ruchem narodowym na Śląsku. Zaczyna więc od siebie a w pewnym celu. Gdyby dr Cinciała chciał prawdę powiedzieć, musiałby zeznać, że pierwsze takowe Towarzystwo powstało w roku 1842 i trwało dwa lata. Wiedział on dobrze o niem, bo chociaż przedtem wystąpił ze szkoły, udając się do księgarni Friedleina w Krakowie, pisaliśmy z tego Towarzystwa do niego, aby nam dostarczał książek polskich, które na Śląsku wówczas były rzadkością. Nie doczekaliśmy się odpowiedzi, aż powrócił on sam, i rezonował na Polaków, co nam członkom owego towarzystwa nie szczególnie się podobało. Był potem pisarzem ekonomicznym na wsi, i następnie w Cieszynie w kancelarji adwokackiej dra Kluckiego. Zastawszy go tu w czasie wakacyj podczas moich nauk w Wiedniu, namówiłem go, aby ponownie do szkół wstąpił, i aby owe stowarzyszenie polskie między uczniami założył. Namówiłem go też do wspólnej wycieczki do Krakowa w celu uzyskania książek dla tego stowarzyszenia. Nie prawdą zaś jest, co

mówi dr Cinciała w Pamiętniku, że książki tego studenckiego stowarzyszenia „stały się podwaliną Biblioteki polskiej dla ludu śląskiego“, którą przy Czytelni Polskiej z r. 1848 założono. Bo „Biblioteka Polska dla ludu śląskiego“ samoistnie powstała, była już w r. 1849 znaczna i sam najwięcej o nią się starałem. Po rozwiązaniu się zaś owego stowarzyszenia gimnazjalistów w roku 1850 dopiero jego księgozbiór oddany został Bibliotece Polskiej dla ludu śląskiego. Zdaje się, że samej niepamięci dra Cinciały tych mylnych podań jego przypisać nie wolno.

Dalej chwali się dr. Cinciała, że „jeden z członków tego towarzystwa gimnazjalistów (t. j. dr Cinciała, terażniejszy prezes Czytelni Ludowej) umozębnił pracą swoją rozpoczęcie wydawnictwa pierwszego pisma ludowego na Śląsku, którego pierwszy numer wyszedł d. 6 maja 1848 r. pod nazwą *Tygodnik Cieszyński*, a później pod nazwą *Gwiazdka Cieszyńska*.

Niechże dr Cinciała w przeciągu 40-letniego istnienia tego pisma, albo przynajmniej w pierwszych numerach z 1848 roku, kiedy był podpisywany na nich jako „spółpracownik“, wykaże choć jeden swój artykuł, gdz dziś się chwali, że *on umozębnił pracą swoją to wydawnictwo*. — Owszem, podpisywanie gimnazjalisty za współpracownika, któremu potrzebnych do tego wiadomości brakowało, w samym początku wielce szkodziło temu pismu w opinji publicznej Cieszyna, o o czem pewnie on sobie wspomni.

Ja się nigdzie nie chwaliłem z mojemu zasługami, a tem mniej w „Pamiętniku“. W „Pamiętniku“ moje imię i nazwisko tylko raz przychodzi, t. j. że zagałem posiedzenie, czyli że powitałem jako prezes Czytelni zgromadzenie jubileuszowe następującem przemówieniem. Niema tu wspominki, że *ja* założyłem towarzystwo, że *ja* pojechałem do Krakowa, aby książek uzbierać dla tego towarzystwa, że *ja* umozębniłem wydanie „Tygodnika“, a chociaż to wszystko prawda i jest aktami stwierdzone, to w przemówieniu mojem zamilczałem o mojej osobie. Stalmach zaś odszukał moją osobę tylko dlatego, aby mu służyła do jego przechwałek. Stalmach mię nie namawiał, abym znów wstąpił do szkół, lub żebym wycieczkę wspólnie z nim do Krakowa odbył.

Wykazywać nie potrzebuję, że podczas mojego współpracownictwa w wyda-

waniu „Tygodnika“ — pisałem do niego artykuły, owszem, jeżeli Stalmach co napisał, to się też pod artykułem zaraz podpisał — a „Tygodnik“ wykazuje, ile to tych artykułów Stalmachowych się tam znajduje.

Gdy zaczął „Tygodnik“ wychodzić, byłem nie w gimnazjum, ale w filozofji, która w tym roku w Cieszynie otwartą została, a Stalmach był w tym czasie w teologii; nie było tam więc między nami co do zdolności redagowania pisma wielkiej różnicy.

Stalmach mówi, że sam mój podpis szkodził pismu; jakże to być mogło, skoro Stalmach „niemal wyłącznie wszystkie artykuły z Wiednia zasałał i od samego początku Tygodnik redagował“.

23.

„Tygodnik Cieszyński“ (później nazwany „Gwiazdką Cieszyńską“) powstał w ten sposób. Już w roku 1845, powróciwszy z liceum preszburzkiego, gdzie miałem sposobność poznać dziennikarstwo słowiańskie i jego znaczenie, udałem się do dra Kluckiego w Cieszynie, zachęcając go do wydawania polskiego czasopisma dla Śląska. Powtarzałem te zachęcania także podczas dalszych moich nauk w Wiedniu, gdzie przygotowywałem zapas rozmaitych artykułów, o czym wiedzą żyjący jeszcze świadkowie. Uzyskanie pozwolenia na czasopismo jednak było wówczas trudne. Po dniach marcowych 1848 roku napisałem więc do dra Kluckiego, że już nie potrzebnem jest pozwolenie; on przybył do Wiednia, porozumiał się ze mną, przedstawiłem go także księciu Jerzemu Lubomirskiemu w celu utwierdzenia go w zamiarze i wskutek tego zaczął wydawać „Tygodnik“. W samychże początkowych numerach tego pisma są niemal wyłącznie moje artykuły, nadsyłane z Wiednia i mogę powiedzieć, że od samego początku Tygodnik redagowałem. Lecz nie mogłem się na pierwszych numerach podpisywać, będąc w Wiedniu; ukończyłem bowiem wówczas ostatni kurs nauk, i potem jeszcze z Wiednia pojechałem na Zjazd Słowiański w Pradze... Potem już podpisywałem się jako redaktor. Przytaczam te okoliczności, nie dla „chęłpienia się“, ale dla wyświecenia prawdy.

Dr Klucki był z początku wydawcą „Tygodnika“ i podpisywał się jako taki, lecz z powodu zrozumiałych przyczyn już na pierwszych nume-

rach chciał mieć jaki drugi podpis, i dla tej formalności dał podpisywać jako figuranta Andrzeja Cinciałę, gimnazjalistę i byłego pisarza swego za współpracownika.

Obecnie dr Cinciała, korzystając z tej figuranckiej roli swojej, „chęłpi się“, jakoby on umożliwił wydawnictwo „Tygodnika“ („Gwiazdki Cieszyńskiej“)...

Wszystkie opisy Stalmachowe o powstaniu „Tygodnika“ nie opierają się o prawdę. Najwierutniejszym kłamstwem jest, że dr. Klucki pojechał do Wiednia, aby się u Stalmacha o wydawanie „Tygodnika“ umówić. Dr. Klucki był w Wiedniu, ale w innych sprawach, a podczas gdy bawił w Wiedniu, wyszedł i numer „Tygodnika“. Opisałem tę sprawę obszerniej na innym miejscu.

24.

Moją winą jest, wyznaję to, że żądałem wszędzie energicznej pracy na polu narodowem, bo taka jest gwałtownie potrzebną na Śląsku i jedynie może być skuteczną. Spodziewałem się jej także od wydziału Czytelni Ludowej, i żądałem jej, a stąd jego zawiść i niechęć, którą Pamiętnik upamiętnia.

Dlatego, że nawoływałem do skutecznego działania, występowały wydziały dawniejsze w swoich sprawozdaniach rocznych przeciwko „Gwiazdce Ciesz.“, jak i obecny przeciw niej występuje w Pamiętniku, i nadto uciekały się do pozasląskich pism z niesłychanemi obelgami na „Gwiazdkę“. Szkoda, że wydział nie przedrukował w Pamiętniku słownika tych zelżywości, jakimi on lub klika szafowali.

Ciekawą jest też następująca wymówka wydziału w Pamiętniku. Opowiada wydział, jak zeszłego roku niemieckie Towarzystwo gimnastyczne obchodziło uroczystość swoją i oburza się na „Jurę i Janka“ i na „Gwiazdkę“, iż mówili, że z polskiej Czytelni Ludowej wywieszono też chorągiew. Wydział wymawia się tu, że to dzierżawca hotelu w Bazarze Cieszyńskim, Niemiec, aby przywabić gości, umieścił chorągiew nad bramą, gdzie znajduje się lokal Czytelni Ludowej. Lecz chorągiew ta była wywieszoną z okna Czytelni. Czyż niemiecki dzierżawca śmiał sobie to pozwolić? Od czegoż jest wydział?

Dziwaczną jest dalej wymówka wydziału, gdzie bierze w obronę „Towarzystwo polityczne ludowe“ i jego narady w Czytelni Ludowej z polskimi wyborcami ewangelickimi bielskiego powiatu, głosującymi z Niemcami (za Obratschajem).

Cytaty w Pamiętniku o tem, wyjęte z Gwiazdki, godziłyby się tu w całości podać, bo wykazują one, jak Towarzystwo polityczne ludowe miało na celu zwichnąć kandydaturę Świeżego i udowodniło to już wprzód na zgromadzeniu swoim w Ligotce...

Na domiar walka kliki upamiętniła się agitacją na Śląsku, i nareszcie zapomocą jej protekcji krakowskiej agitacją w Galicji, żeby Gwiazdki nie prenumerowano, ponieważ nie chciała służyć widokom kliki zdyskredytowanej u ludu śląskiego, a w tem i Wydział Czytelni żywy brał udział. — Za prezoswstwa to dr. Cinciały zabroniono nawet oddawać Gwiazdkę Ciesz. do sługi Czytelni dla prenumeratorów, którym tam wygodniej było ją odbierać. A przecież to ten dr. Cinciały, który się chce chęlnie, że on umożliwił wydawnictwo Gwiazdki Cieszyńskiej, a teraz pod jego opieką śmie być Czytelnia Ludowa do takiej nieprzyjazni przeciwko Gwiazdce użytą.

Ani się śniło komu pisać niesłychane obelgi na „Gwiazdkę“ w pismach pozaśląskich i używać słów obelżywych. Tej metody stalmachowskiej nikt sobie nie przywłaszczył. Nikt też nie agitował przeciwko „Gwiazdce“, aby jej nie prenumerowano, i nikt nie bronił, aby „Gwiazdka“ nie była dla prenumeratorów do Czytelni oddawana.

Co do chorągwi i wyborów, to już nie warto pióra zamaczać!

„Moja wina“: nie to jest winą Stalmacha, że żądał wszędzie energicznej pracy na polu narodowym, ale że wygadywał w „Gwiazdce“ niestworzone rzeczy na Czytelnię i mieszał członków Wydziału z błotem, zamiast pracować w Czytelni i kierować jej sprawami w cichości, bez rozgłosu, ale ze skutkiem.

25.

Na zakończenie odpowiadam Wydziałowi Czytelni Ludowej, dlaczego nie byłem na jubileuszu tejże. Wydział życzył sobie widocznie, abym swoją obecnością aprobował jego postępowanie szkodliwe. Otóż tego nie mogłem uczynić.

Na zakończenie mówi Stalmach, że dlatego nie był na jubileuszu, aby swą obecnością, nie aprobował postępowania szkodliwego Wydziału. Co za zarozumiałość!

*

Bardzo trafnie tu można zastosować słowa biblii: „widzi źdźbło w oku brata, a belki w własnym oku nie widzi“. Tak też Stalmach upatruje w Czytelni wszystko złe, ona wszystkiemu winna, ona tamuje rozwój życia narodowego, ale nie pyta się, co też jego „Gwiazdka“ ważnego na Śląsku zdziałała przez cały czas czterdziestoletniego istnienia swego. Każdy przyzna, że pismem, przeznaczonym dla ludu, jeżeli jest dobrze redagowane, daleko więcej zdziałać można, jak Czytelnią.

Niniejszą „własną obronę“ umieścił Stalmach w „Gwiazdce Cieszyńskiej“ w 1886 r., ale artykuł ten kazał osobno wydrukować w formie tej broszurki, a cel tej odbitki z „Gwiazdki“ jest ten, aby ją przesłać w te miejscowości i tym osobistościom, do których „Gwiazdka“ nie znalazła dotąd przystępu.

Z niej mają się odbiorcy dowiedzieć, jakie to zasługi ma Stalmach około narodowości polskiej na Śląsku, a jaka to gospodarka jest u nas, z ukrytą naturalnie przestrożą, aby dążności narodowych na Śląsku nie wspierali, chyba, żeby Stalmach jako judex supremus, dał na to swoje pozwolenie i jak sam się wyraża — swoją aprobatę. Musiał on tę broszurę zasłać także do Odessy, bo ztamtąd oczekiwaliśmy jakiego kapitału na wyposażenie biblioteki, darowanej przez ś. p. Bagieńskiego, a dotąd nic nie nadeszło, i korespondencję z Czytelnią naszą przerwano, a listy, pisane do dra Dłuskiego, pozostały bez odpowiedzi.

Cieszyn, 28 czerwca 1894.

Dr Andrzej Cinciały.

II.

UWAGI DO NEKROLOGU PAWŁA STALMACHA.

De mortuis nil nisi bene. Nie mam zamiaru uwłaczać zasługom P. Stalmacha, chcę tylko niektóre ustępy nekrologu w

„Gwiazdce Cieszyńskiej“ umieszczonego sprostować.

I.

Stalmach, przeszedłszy po ukończeniu szkoły ewangelickiej przy kościele Jezusowym, gdzie wówczas choć słabo, przecież po polsku uczono, do gimnazjum cieszyńskiego, już tam polskiej mowy nie usłyszał wcale, a to, czego się w polskim w pierwotnej szkole nauczył, zapomniał prawie zupełnie.

Patrz „Gwiazdkę“, str. 486, rok 1891. W gimnazjum ewang. w Cieszynie, aż do czasu upaństw. tegoż i połączenia z gimn. kat., uczono w 1 i 2 klasie po polsku, to jest uczono języka polskiego. Nauka ta była niedostateczną, ale zawsze był z niej jakiś pożytek.

2.

Dziwić się rzeczywiście trzeba, że wobec tak smutnych stosunków Stalmach nie utracił zupełnie poczucia narodowego, i poważać go musimy przedewszystkiem z tego powodu, iż nie mając znikąd żadnej zachęty, sam zdążył drogą, na którą przed nim nikt nie wstąpił.

Poczucia narodowego nikt nie miał, więc go też utracić nie mógł. Poczucia narodowego nabywaliśmy później rozmaitemi przypadkami i zrzędzeniami Bożemi.

3.

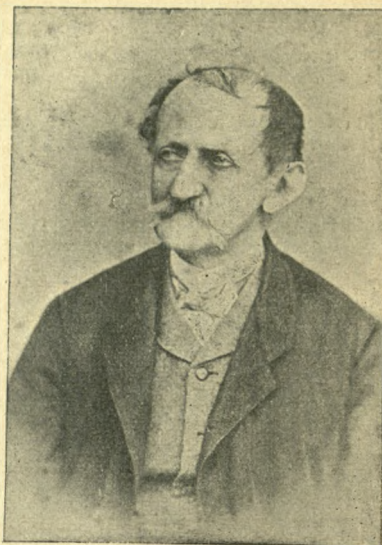
A. Cinciała, namówiony przez Stalmacha, powrócił do szkół, ukończył je i został doktorem praw i z biegiem czasu znanym i szanowanym ogólnie notariuszem w Cieszynie.

Nie jest to załugą Stalmacha, że wstąpiłem na powrót do szkół.

4.

Stalmach, pragnąc przyjść w pomoc rodakom na Śląsku, śpiewającym z czeskich kancjonałów, zaczął tłumaczyć czeski kancjonał Trzanowskiego na język polski, a to dało pochop innym do rozprzestrzenienia tej pracy i zebrał się mężowie, jak Drózd, Raszka, Winkler i Żlik, a później Heczko, którzy pracę tę z czasem doprowadzili do pożądanego skutku, tak że ujrzała światło dzienne jako kancjonał ewangelicki, wydany w Cieszynie w r. 1865.

Stalmach i Heczko zajmowali się w Wiedniu tłumaczeniem pieśni Trzanowskiego. W kancjonale ewangelickim atoli jest tylko jedna pieśń przez Stalmacha sporządzona i przez niego podpisana, jak mi to Heczko sam mówił w r. 1894. Nekrolog Stalmacha, umieszczony zaraz po jego śmierci w „Gazecie narodowej“ we Lwowie, przytacza, że Stalmach wydał kancjonał.



Dr Ludwik Klucki.

5.

We Wiedniu Stalmach przebył trzy lata, utrzymując stałe korespondencję z dr. Kluckim i Cinciałą.

Stalmach podczas swoich studyj bardzo mało miał styczności z dr. Kluckim, a co do korespondencji, to zdaje mi się, dwa razy do niego pisał, które to listy do niego pisane, na moje ręce z Wiednia przysłał.

6.

Nadeszła wiosna r. 1848, a z nią i nowa era dla ludów monarchji austriackiej. Ogłoszono konstytucję, a z nadaniem jej i wolność druku. Stalmach, dowiedziawszy się o tem, pisze czempredzej do dra Kluckiego, że teraz czas wziąć się do dzie-

ła i zacząć wydawać polskie pismo dla Ślązaków, bo nie potrzeba na nie żadnego pozwolenia rządowego. Dr Klucki śpieszy do Wiednia, do Stalmacha i tam układają cały plan, treść i dążność przyszłego pisma, a wynikiem tych obrad było, że dnia 6 maja 1848 r. wyszedł w Cieszynie pierwszy numer „Tygodnika Cieszyńskiego“.

Dr Klucki, jako jurysta i adwokat po- no lepiej wiedział jak student Stalmach, co było potrzebnem do wydawania pisma. Że dr Klucki pojechał do Wiednia, aby się ze Stalmachem względem wydawania pisma umówić i że tam cały plan ułożono — jest rzeczą zupełnie zmyśloną, co wiedzieć można z listów Stalmacha do mnie w tym czasie pisanych.

7.

...liczba prenumeratorów rosła bardzo wolno, dochody nie pokrywały kosztów nakładu, a nowa ustawa prasowa, wymagająca kaucji od pisma politycznego, zdawała się na dobre zagrażać egzystencji „Tygodnika“. Prawda i dr Klucki i Stalmach zatykali niedobór jak mogli, lecz rzecz cała kulała — a gdy jeszcze i kary wymierzone ustawą na nakładcę i redaktora odstraszyły dra Kluckiego od dalszej spółki w wydawnictwie „Tygodnika“, pozostał Stalmach sam oddany sobie, jeden i samotny prawie, jak palma na puszcy.

Wydawca „Tygodnika Cieszyńskiego“, dr Klucki, sam ponosił kosztą wydawnictwa, bo też to było jego obowiązkiem jako wydawcy, a Stalmach nie pokrywał żadnych niedoborów, boteż nie miał z czego. Gdy po krótkiej przerwie gazeta ta znów zaczęła wychodzić, Stalmach porzucił wydawcę, nic mu nawet o rozpoczęciu wydawnictwa na nowo nie powiedział. Dr Klucki sam mi to mówił (co dobrze pamiętam) i uskarżał się na Stalmacha przedemną. Nie można więc twierdzić, że szczupłe dochody z wydawnictwa i kary zagrożone ustawą odstraszyły dra Kluckiego od dalszej spółki w wydawnictwie „Tygodnika“, jak również nie można przypisywać Stalmachowi z tego względu, że sam się porwał do wydawnictwa i bez wszelkiej przyczyny porzucił dra Kluckiego, żadnego poświęcenia się i żadnych ofiar.

8.

Stalmach o suchym kęsie chleba pracował dla dobra swego ludu, a więc dla całego narodu, i jego tylko zbawienie wciąż miał przed oczyma.

Że Stalmach użył dosyć biedy, to prawda, ale też sobie sam wiele winien, bo był zawsze niezgodliwy, krnąbrny, uparty, że wszystko chciał mieć według swej woli i z nikim na świecie nie mógł się zgodzić. Taki stosunek redaktora do ludzi przynosi szkodę nietylko jemu, ale też i pismu.

9.

Nie pomogły perswazje, nie pomogły korzystne Stalmachowi ofiarowane posady na innem polu — nic jego silnej woli, jego miłości do ludu złamać nie zdołało.

Posad nie ofiarowano Stalmachowi znikąd. On ubiegał się o profesurę języka polskiego na Cieszyńskim gimnazjum, ale jej nie otrzymał.

10.

Stalmach w pocie czoła pracując na kawałek chleba i własne utrzymanie daniem lekcji prywatnych, nieraz koszta druku numeru opędzał groszem od ust odjętym, by tylko nie ustać w dziele raz podjętem.

Wszystko to niepotrzebnie spowodował Stalmach swoją upartością i niewytłumaczoną zarozumiałością — bo dr Klucki chętnieby był pokrywał wydatki za wydawnictwo, gdyby go nie był Stalmach porzucił.

11.

Baczny na wszystko Stalmach, śledzący pilnie wszelkie objawy życia narodowego, nie omieszkał skorzystać (po roku 1859) z tak dogodnej chwili i na nowo powziął zamiar odbudowania swej ubóstwianej instytucji: Czytelni polskiej w Cieszynie. Niezmordowany w pracy, niezrażony żadnemi przeciwnościami, rozpisał liczne listy do Galicji, Poznańskiego i Królestwa Polskiego o pomoc dla swego dzieła, a zewsząd życzliwi nam rodacy poczęli nadsyłać książki i czasopisma, a i grosz obfity wpłynął do skarboxy czytelnicy.

Co do Czytelni, patrz artykuł w „Pamiętniku Czytelni“ jubileuszowym pod tytułem „W obronie Czytelni“^{*)}.

Odnosny ustęp brzmi: „Pierwsze nieporozumienie (Stalmacha) z Czytelnią datuje się z r. 1864. Powód jego był następujący. Gdy w roku 1861 Czytelnia zawiązaną została, ofiarował jej redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiej“ różne nadsyłane mu czasopisma, po zrobieniu z nich redakcyjnego użytku, do czytania i sam niejednokrotnie powoływał się na tę ofiarność swoją, mianowicie: „Wspomnieć tu należy i pism czasowych, w liczbie blisko 60, które przez Redakcję „Gwiazdki Cieszyńskiej“ na użytek Czytelni bezpłatnie ofiarowane są“ — i: „drugim środkiem oświaty są czasopisma, które redakcja „Gwiazdki“ udziela Czytelni bezpłatnie“ („Gwiazdka“, 1863, str. 38 i 1864, str. 42). Naraz jednak w marcu roku 1864 zażądał od wydziału za tenże rok 100 złr, wynagrodzenia za udzielane Czytelni czasopisma. Czytelnia była wówczas sama w trudnych warunkach, jako młoda, trzeci rok dopiero istniejąca instytucja. Zaległości wkładkowe były już wówczas dość znaczne, bo byli Członkowie, którzy prawie od początku z wkładkami swemi zalegali. Wydział po dłuższem wahaniu się, uchwalił w maju tegoż roku przychylić się do przedstawionego mu żądania, a chcąc sobie potrzebne na ten cel zapewnić środki, postanowił zarazem zająć się energiczniej ściąganiem, choćby nawet drogą sądową, zaległych wkładek, ściągnięte zaś obracać w połowie na bieżące potrzeby Czytelni, a w połowie na wypłatę żadanego wynagrodzenia. Kilku Członków rzeczywiście zaskarżono.

W r. 1865 pojawił się w „Gwiazdce“ w numerze z d. 7 paźdź. pierwszy artykuł, wymierzony przeciw wydziałowi Czytelni, zarzucający mu, prócz beczynności i martwoty, między innymi także i to, iż będąc w krytycznym położeniu, powytaczał skargi niektórym Członkom, zalegającym z wkładkami, a stwierdzający mimo to, co powyżej powiedziano, „iż mając gazety bezpłatne od redakcji „Gwiazdki“, przecież ledwie jest w stanie“ i t. d. Na artykuł ten wystosował wydział odpowiedź, w której wykazał, iż „był zmuszony, ten niemily krok uchwalić, a to głównie, żeby p. redaktora „Gwiazdki“ zaspokoić, który na te

*) Dr Cinciała odsyła czytelnika w niniejszym ustępie do „Pamiętnika Czytelni Ludowej w Cieszynie“, gdzie spotykamy się z ciężkimi zarzutami pod adresem Stalmacha. Aby czytelnik „Uwag“ mógł się zaznajomić z owemi zarzutami, ogłosiłem je powyżej, zaś odpowiedź Stalmacha i jego obronę w poruszonej sprawie podałem na innym miejscu. (Uwagi ze strony przeciwnej, ustęp 19). — Przypisek wydawcy.

zaległości wskazując i rachując, żądał od wydziału 100 złr. wa. wynagrodzenia za gazety Czytelni ludowej do użytku udzielane“. Odpowiedź ta dopiero wskutek interwencji prokuratorji w „Gwiazdce Cieszyńskiej“ z tegoż roku, na str. 322 umieszczoną została z tym że strony redakcji dodatkiem: „Zapewne i Czytelnia mogła się obowiązana poczuwać do wsparcia „Gwiazdki“. Dodać tu musimy, iż redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiej“ od założenia Czytelni ludowej aż do końca roku 1866 należał do jej wydziału“.

12.

Lud rozbudzony „Gwiazdką Cieszyńską“ do życia umysłowego i politycznego, począł uczuwać potrzebę zespolenia sił swoich w jakimś więcej określonym kole, w stowarzyszeniu. Powstała myśl założenia politycznego stowarzyszenia, aby tam gorliwi patrioci znaleźli otuchę, słabsi zachętę do pracy na polu narodowym. Stalmach duszą i ciałem przejęty jedynie dobrem ludu, wszelkimi siłami popierał tę myśl zbawienną i swojemu gorliwemu współdziałaniem słowem i piórem i podaniem wskazówek wielce się przyczynił do założenia takiego stowarzyszenia pod mianem: „Związek śląskich katolików“, które weszło w życie zatwierdzone przez rząd krajowy z miesiącem kwietniem roku 1883.

To prawda, ale stąd wynika, że Stalmach pracował nad rozdwojeniem religijnem i powaśnieniem katolików i ewangelików. Liczne artykuły w „Gwiazdce“ stwierdzają to orzeczenie, mianowicie namiętne występowanie przeciw Towarzystwu polit. ludowemu bez barwy religijnej, do którego wszystkie wyznania należą.

13.

Szczytem marzeń Stalmacha w ostatnich już prawie latach jego życia była jedna przewodnia myśl, by stworzyć dla młodzieży naszej tak gimnazjum, jak i seminarjum, przedewszystkiem jednak pierwsze, z językiem wykładowym polskim. „Macierz Szkolna dla Księstwa Cieszyńskiego“, oto miano ostatniego duchowego dziecka Pawła Stalmacha. Cześć mu i sława za tę myśl wzniosłą i świętą, za ten niestarty dokument jego wielkiej miłości narodu, a zwłaszcza młodzieży!

Mówiłem nieraz ze Stalmachem (będąc jeszcze notariuszem w Frysztaście) o założeniu polskiego gimnazjum w Cieszynie, i że trzeba tę myśl w „Gwiazdce“ poruszyć. Ale Stalmach nie dał się do te-

go nakłonić i zawsze odpowiadał: a któż nam tam pójdzie? dla braku uczniów musiałby ten zakład wkrótce upaść. Lecz naraz zaczął Stalmach pisać o potrzebie polskiej nauki w Gimnazjum, czyli raczej założenia polskiego gimnazjum. Co jego do tego pobudziło, jest mi niewiadomem, mówiono mi, że poseł Świeży przyniósł taki wiatr z Wiednia.

14.

Praca piśmiennicza Pawła Stalmacha nie ograniczała się na samym tylko redagowaniu „Gwiazdki Cieszyńskiej“. Zajmował się on pilnie literaturą polską i napisał kilka książek bardzo udatnych, a dla ludu pożytecznych, jak: „Księgi rodu Słowiańskiego“, „Cieszmir“ i inne, nadto kilka dobrych kalendarzy. Rozpoczął także pisać swoje pamiętniki od roku 1848, których dokonczeniu śmierć przeszkodziła. Oprócz tego wydał Stalmach „Zbiór pieśni śląskich“, zebranych z wielkim mozolem pomiędzy naszym ludem.

Żeby Stalmach był wydał „Zbiór pieśni śląskich“, zebranych z wielkim mozolem pomiędzy ludem naszym — nie jest mi wiadomo*), chociaż wiem o jego wszystkich pracach, gdyż miałem z nim stosunki począwszy od 3 klasy gimnazjalnej, a podczas mojej nieobecności w Cieszynie utrzymywaliśmy korespondencję

*) Autor nekrologu, mówiąc o „Zbiorze pieśni śląskich“, popełnił błąd, bo Stalmach rzeczywiście czegoś podobnego nie wydał. Opracował natomiast *Zbiór pieśni słowiańskich, wydany przez Towarzystwo Czytelni Polskiej w Cieszynie, 1849, str. 63*, który oprócz pieśni polskich, zawierał także niektóre czeskie, słowackie, chorwackie i ruskie. Mówiąc w swym *Pamiętniku* (str. 253—254) o *Zbiorze pieśni słowiańskich*, dodaje, że nie zebrał je „z pierwowzorów czyli wprost z pism autorów, lecz jak krążyły między studentami słowiańskimi, z którymi jedynie podczas nauk miał styczności. Mimo tego wywarły one dobry skutek. Znalazła ta książeczka najlepsze przyjęcie, i odtąd śpiewano po wsiach podane pieśni narodowe. Pisarze polscy nieraz potem wyrażali podziwienie w pismach publicznych, że śpiewy narodowe polskie więcej są upowszechnione między ludem na Śląsku, aniżeli w innych krajach polskich“. — Cinciała powinien był wiedzieć o „Zbiorze pieśni słowiańskich“, tembardziej, że go w *Silesiaca* posiadał, i o tem, że wydał go Stalmach. Wiedział przecie — jak sam powyżej mówi — o wszystkich jego pracach. — Przypisek wydawcy.

między sobą. Przypominam sobie atoli, iż mi jednego razu mówił Mrowiec, nauczyciel z Lesznej, iż pożyczył Stalmachowi pieśni ludowe przez niego zebrane, a że zwrotu ich nie może wykołatać.

Stalmach też nigdy przede mną nie wspominał, iż zbiera pieśni ludowe, lub że je wydał, chociaż mu było wiadomem, iż ja pieśni zbieram, wiadomem, iż te pieśni wydałem.



Jerzy Mrowiec z Lesznej.

15.

Po czterdziestoletniej blisko pracy przemysłował Stalmach nad tem, komu przekazać swą duchową spuściznę, w czyje ręce powierzy dalszą pracę i redakcję „Gwiazdki“. Nie długo się wszakże namyślał, bo widząc w swem otoczeniu mężów godnych zaufania z duchowieństwa naszego, z końcem roku 1887 oddał im swe pismo, skromną tylko dla siebie, a w razie swej śmierci dla swej żony zapewniając rentę. Nowym nabywcom „Gwiazdki“ służył wszakże ciągle radą i dawał wskazówki, by w jego duchu pismo to dalej było redagowanem.

Ewangelicy chcieli również nabyć od Stalmacha „Gwiazdkę“, ale on o tem nie chciał wiedzieć.

*

Ze Stalmach stał się powoli katolikiem, że redagował „Gwiazdkę“ po katolicyku, że poróżnił katolików z ewangelikami, to jest niezbitą prawdą. Upartość jego, szorstkość i nieokrzesanie pochodziło głównie stąd, że nie żył z ludźmi, że był u siebie jakby w zamknięciu, nie był w towarzystwach, i nie umiał się nigdzie znaleźć. Jego powiernikami i jego otoczeniem było kilku księży katolickich, z którymi się przy piwie lub winie spotykał. Żona jego, bardzo prosta osoba, przyczyniła się także do jego sobkowstwa, a będąc katoliczką, nakłoniła go do przestąpienia.

Był on tak dalece zarozumiałym, że sądził, iż jest pierwszą osobą na Śląsku, że on tu wszystko zrobił i zdziałał, że inni nic nie zrobili, owszem, że mu w jego przedsięwzięciach czynią przeszkody, że co on zbuduje, oni rozwalają i na każdym kroku go przesładują. Daje o tem świadectwo nietylko „Gwiazdka“ prawie na każdym miejscu, ale szczególnie listy ubliżające i pełne grubiaństw, które z róż-

nych okoliczności i w różnych czasach pisywał do osób gorliwych, zasłużonych i ze wszech miar szacunku godnych.

Na pogrzeb Stalmacha przybyło 40 księży katolickich. Z narodowców widziałem w kościele tylko dra Michejdę i Cinciałę z Mistrzowic, nie było żadnych obywateli miejskich, nie było wieśniaków, za to było dosyć — nie chcę powiedzieć, gawiedzi, którzy chcieli widzieć różnego księży, jakby to był pogrzeb jakiego biskupa. Kazanie w kościele miał X Świeży, porównywał Stalmacha z Mojżeszem i zakończył słowami: „Stalmach całe życie prawdy szukał, aż ją na śmiertelnej pościeli znalazł.“ Na śmiertelnej pościeli, gdy Stalmach już nie mówił, sporządzono jego przestąpienie. — Musiał więc Stalmach być całe życie w obłędzie, jakże więc mógł lud prowadzić? — Kto porzuca wiarę ojców, nie jest więcej wart, jak ten, który porzuca swoją narodowość.

W Ustroniu, d. 5 czerwca 1894.

Dr Andrzej Cinciała.

KRONIKA.

JESZCZE O „ROTY“.¹⁾

Notatkę w sprawie „Roty“, umieszczoną w „Zaraniu“ (1932, str. 54), przed-

¹⁾ Poruszoną przez mnie sprawę „Roty“, a raczej tylko jej tekstu słownego, uzupełniam na tem miejscu drobnym, lecz ważnym szczegółem. Znalazłem część rocznika „Przodownicy“, pisma dla kobiet, wychodzącego w Krakowie w połowie każdego miesiąca [rok X (1910), nry 1 (styczeń) — 7 (lipiec)], w której tekstu „Roty“ niema, pomimo, iż w niej znajduje się specjalny „numer grunwaldzki“ (lipiec 1910). Ponieważ „Rotę“ w „Gwiazdce Cieszyńskiej“ umieszczono już w lutym tego roku, a w „Przodownicy“ nie znajdujemy jej do lipca (zob. przypisy J. Czubka do „Roty“ w

łożyłem kompozytorowi Feliksowi Nowowiejskiemu, który obecnie przebywa w Poznaniu. Przy tej sposobności dowiedziałem się od p. Nowowiejskiego dalszych szczegółów w tej sprawie, o których przypuszczam, że zainteresują czytelników „Zarania“. Oto one:

Było to mniejwięcej na 7—8 lat przed wojną światową. Nowowiejski odbywał wówczas studia w Berlinie. Staraniem tamtejszej kolonii polskiej odbył się uroczysty wieczór, na którym utwory Mickiewicza deklamowała Laura Pytlińska, córka

zbiorowem wydaniu pism Konopnickiej), przypuszczać można, że tekst cieszyński jest pierwodrukiem. — Ludwik Brożek.

Marji Konopnickiej, — w wieczorze tym brał udział także Nowowiejski. Nadprogramowo zadeklamowała wtedy Pytlińska wiersz swojej matki p. t. „Kujawiak“. Deklamacja ta na Nowowiejskiego wywarła wielkie wrażenie. Skomponował on później do tego wiersza muzykę na chór i orkiestrę. W rozmowie z Pytlińską zaznaczył Nowowiejski, że pragnąłby skomponować pieśń, która przyczyniłaby się do odrodzenia duchowego narodu, oraz prosił, by Pytlińska skłoniła swoją matkę do napisania odpowiedniego wiersza. Artystka wskazała na to, że wiersz taki, pióra jej matki, już istnieje i zacytowała pierwsze słowa „Nie rzucim ziemi...“. Nowowiejski prosił o dostarczenie mu tego wiersza. Nie otrzymał go jednak wtedy. Dopiero w kilka lat później, kiedy przeniósł się do Krakowa, zostawszy tam dyrygentem Towarzystwa Muzycznego, zupełnie przypadkowo, przy przeglądaniu gazet w kawiarni Bisanza, zauważył w jednej z gazet o małym formacie (tytułu nie pamięta) wiersz Konopnickiej, zatytułowany „Hasło“, a zaczynający się od słów, które swego czasu cytowała Pytlińska. Odtąd Nowowiejski wiersz ten stałe miał pod ręką, aby doń skomponować melodię. Pewnego razu wczesnym rankiem wyszedł na przechadzkę w stronę Kopca Kościuszki. Uprzymnił sobie, że Kopiec ten usypany jest z ziemi, pochodzącej z wszystkich zakątków Polski. W tej chwili przypomniał sobie „Hasło“, przeczytał je (nosił je stałe przy sobie), — i wtedy nagle powstała melodia do „Hasła“. Spisał ją kompozytor na kopercie, znalezionej w pugilaresie. Po powrocie do domu opracował pieśń na chór i zatytułował ją: „Rota“. Jest to szczególnie ciekawy także dlatego, że ogłoszony w „Zaraniu“ wiersz „Nie rzucim ziemi...“ nosi tytuł „Rota“, pochodzący od Konopnickiej; — niezależnie od tego, Nowowiejski zaraz po skomponowaniu melodji dał wierszowi także tytuł „Rota“, chociaż wiersz znał p. t. „Hasło“.

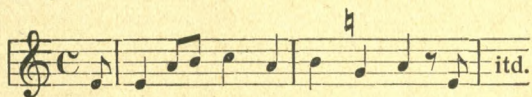
Tak powstała melodia „Roty“ niedługo przed obchodem grunwaldzkim w lipcu

1910 r. W czasie obchodu pod kierownictwem Nowowiejskiego odśpiewały złączone chóry pod pomnikiem grunwaldzkim w Krakowie, w obecności fundatora pomnika Paderewskiego, po raz pierwszy „Rotę“ obok „Bogurodzicy“. W chórze brali udział śpiewacy z całej Polski. Śpiewacy — jak to często bywa — zabrali nuty z sobą do domu. W ten sposób „Rota“ rozniosła się po Polsce, stając się powoli pieśnią całego narodu.

Pierwsze egzemplarze nut „Roty“, przeznaczone na obchód grunwaldzki, były litografowane w Towarzystwie Muzycznym. Wkrótce ukazała się „Rota“ drukiem u Krzyżanowskiego w Krakowie p. t. „Hasło“, w układzie na śpiew z towarzyszeniem fortepianu.

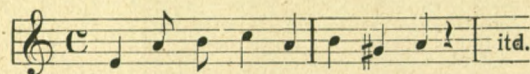
Po wojnie, w r. 1918, wydał „Rotę“ w kilku opracowaniach Gebethner i Wolff w Warszawie. Równocześnie „Rotę“ zaczęto umieszczać we wszystkich śpiewnikach, zawierających pieśni narodowe.

Ciekawa jest ewolucja, jaką przeszła melodia „Roty“. Pierwotnie miała „Rota“ na początku odbitkę, a w drugim takcie między pierwszą a drugą nutą interwał dużej tercji. Pierwsze dwa takty brzmiały więc:



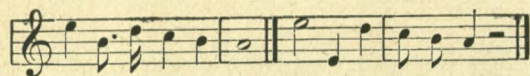
Podczas wojny otrzymał kompozytor list od lwowskich Sokołów z prośbą, by mogli śpiewać „Rotę“ do marszu. Wtedy Nowowiejski zmienił melodię, opuszczając początkową odbitkę. Oprócz tego zmienił wtedy także tekst 3 zwrotki, mianowicie zamiast „orężny sercem hufiec nasz“ dał słowa „wstanie orężny hufiec nasz“, gdyż tego wymagało nowe ujęcie rytmiczne. — Dalsze zmiany spowodowała praktyka. Mianowicie przy wykonywaniu „Roty“ stałe zamiast dużej tercji, dawano małą tercję w drugim takcie. Nowowiejski w wydaniu Gebethnera uwzględnił te zmiany.

Obecnie więc pierwsze dwa takty brzmią następująco:



Jeszcze jednej zmiany w melodji dokonała praktyka, mianowicie w dwóch ostatnich taktach. Zmianę tę przeprowadził Nowowiejski w nowem opracowaniu, wydanem przez Zjednoczenie Młodzieży Polskiej w Poznaniu w r. 1924. W wydaniu tem podłożono pod melodję hymn organizacyjny Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej, których Zjednoczenie jest centralą ogólnopolską, — zaczynający się od słów: Hej, do apelu stańmy wraz²⁾. Dwa ostatnie takty brzmią dziś

następująco: a nie jak dawniej:



²⁾ Skład główny: S. A. Ostoja, Poznań, Poczta 15. Układ na 2 głosy z tow. fort. Part. 1 zł, głosy po 20 gr.

Zaznaczam, że według tej ostatniej redakcji zachodzi w całej melodji tylko jedna nuta z kropką, mianowicie w przedostatnim takcie. Podkreślam to, gdyż niektóre dawne wydania mają tych nut z kropką więcej.

Dodaję jeszcze, że w Kierowniku Stowarzyszeń Młodzieży (1925, nr. 12) był artykuł, opisujący niektóre z wyżej podanych szczegółów, dotyczących powstania melodji „Roty”³⁾. Niniejsza notatka zawiera dalsze autentyczne informacje, uzyskane od kompozytora.

Z wspomnień Nowowiejskiego wynika, że słowa „Roty” zostały napisane przed r. 1910, i to już przynajmniej w r. 1906.

Poznań.

Ks. L. Bilko.

³⁾ C. W-ówna, Dzieje „Roty”, Kierownik Stowarzyszeń Młodzieży, 1925, str. 345. — Artykuł niniejszy powstał dzięki uprzejmości muzyka Feliksa Nowowiejskiego, jako zakończenie wykładu, którego szkic (p. t. „Autorka Roty”) ogłoszono w artykule „Zebranie plenarne, poświęcone czci Marji Konopnickiej”, Kierownik Stowarzyszeń Młodzieży, 1925, nr. 9, str. 266.

MATERJAŁY.

SOTONY,

nocnice, zmory, hele, panny (rusalki) leśne i topielice.

Cicho i spokojnie już teraz w śląskich Beskidach. Nie czyha już w buku ukryty zbójca na pasterza, ani z gąszcza nie wypada zgraja opryszków na kupców, mało już tam także prześladowanych górali przez potępione dusze, potłukujące się po wykrociach, chrostach, płosach czy dziuplach drzew, i dzikie zwierzęta, postrach kierdeli baczy, nie podkradają się już pod koszory, ani robią podkopy pod kolyby lub szopy, a tylko czasem gromada gazdów usiądzie „pod ścianą na przy-

lepku”, a najstarszy na progu chaty, i długo w ciepłą noc opowiadają o dawnych czasach. Wtedy każdy pagórek czy potok, polana leśna czy wąwóz, jama czy gromadzisko skalne pamięta jakieś zdarzenie, szczególnie potępione dusze błakają się po lasach i straszą bojaźliwych.

W nagłówku przytoczyłem sześć nazw tych duchów, z których u starych każdy za coś innego pokutuje, u młodszych zaś te wszystkie nazwy jedno znaczą, t. j. stare straszydło.

SOTONY.

„duszą” ludzi i drzewa, są to dziewczyny, za grzechy rodziców cierpiące, a narodzone już z dwoma żebrami. Jeżeli ta-

kiemu dziecięciu matka da ssać pierś, to dusi ludzi, gdy je karmi się „waczkim“ (pokarm w kawałku płótna, góralski cumlik), to dusi drzewo. Sotona wyskoczy z dziewczki pod postacią białej kotki z brzucha, a może się zmienić w źdźbło, igłę, nić lub żabę, by dostać się przez szparę ku pożądanemu, tam siada na piersi lub nogi, najraczej młodziana, bo ten ma dobrą krew i ssie go do zmęczenia. Do drzewa zaś wchodzi dusza sotony z mory i pije soki, dziewczka to drzewo w nocy ściska, w objęciu bierze. Po wyjściu z ciała duszy sotony, ciało to martwe zostaje, jednak zawsze do góry twarzą, by kot duch mógł z powrotem w nie wskoczyć. Nieraz parobcy szpiegowali uchodzące dziewczki, a gdy z niej kotka wyszła i poszła ssać do kogoś krew, obracali martwe ciało twarzą do ziemi, wtedy dusza-kot nie mogła wskoczyć do ciała i tak żałośnie miauczała, że strach brał parobków i miękło ich serce i odwracali ciało przed wschodem słońca, w przeciwnym razie dziewczka umierała.

NOCNICE

były to dziewczki zmarłe w czasie „ogłoszek“, t. j. między zapowiedzią a ślubem; przedstawiano je sobie jako silnie zbudowane na chudych nogach z długimi włosami. Nieraz ją góral owczarz widział, pod drzewem siedzącą, a szyszką włosy czeszącą. Te znowu porywały górala w taniec i tak długo wywijały, aż ten nogi po kolana zdarł i zmarł.

PANNY LEŚNE

znowu zwodziły młodzieńców, pokazywały im piękne drogi, a wprowadzały ich w gąszcze, ciernie, by po zmęczeniu nie mógł się bronić, a one wtedy wypijały jego krew. Same często się schodziły na polanie leśnej i urządzały zmysłowe tańce.

HELE.

„Helo-helo-helo! jako ci się pasie, Mnie się dobrze pasie, a tobie, jak zasię“, oto słowa starej pieśni, która kiedyś płynę-

ła z gronia na gron, którą codziennie rano witał pasterz swą dziewczynę z przeciwnego stoku górskiego. Jeżeli jednak dziewczka taka, będąc ciężarna, porzuciła swego kochanka i za innego poszła, wtedy po śmierci za pokutę tułała się po groniach, pieśń jakąś zaczynała, jednak jej nigdy nie kończyła, a gdy śpiew ten usłyszeli rębacze leśni, to nakrywali twarz łubami, bo jeżeli głowy nie widziała, to do człowieka prawa nie miała. Owczarz znowu, chcąc się przed nią zabezpieczyć, musiał wszystko prędko „nareby“ ubrać.

TOPIELICE

znowu kryły się w plosach i pod mostkami i wciągały kąpiących się w głębiny lub furmanom wozy wywracały z mostu do wody i ssały z nieszczęśliwych krew, młodość i życie.

O duchach tych krąży w górach jeszcze wiele opowiadań. Niejeden góral postradał życie, inny odważny uśmiercił lub wybawił potępioną duszę, wielu znało sposoby na uchronienie się przed lubieżnością czy zemstą nieszczęśliwych.

Przed sotonami w różny sposób zabezpieczyć się można było, trzeba tylko postawić miotłę u drzwi chaty przeciem do góry, trzeba tylko było kierpce postawić pod łóżkiem palcami ku drzwiom. Jeżeli ktoś chciał ssać go sotonę poznać, mógł ją zaprosić na śniadanie, na drugi dzień zjawiała się dziewczka i różnemi słowami czy pochlebstwami upominała się o przyobiecane jedzenie.

„Duszony“ (ssany) czuł na swych pierśsiach czy nogach coś ciężkiego, jeżeli był odważny i macał rękami, mógł znaleźć źdźbło, igłę lub nić, mógł źdźbło lub nić przerwać, igłę wetknąć w ścianę, a dziewczka-sotona na drugi dzień była martwa lub powieszona. Jeżeli ktoś poślubił sotonę-zmorę, t. j. ściskającą drzewo i jego soki pijącą, mógł jej ująć chodnika do lasu, jeżeli ściał drzewo i przywiózł je do domu, konarami naprzód nałożone, kiedy zaś ściał drzewo i wioził je konarami wtył, to

uśmiercił żonę-zmorę. Wiele jeszcze innych sposobów i środków oraz zaklęć używają do dziś górale, by się uchronić przed nieszczęściem złych duchów.

Parę opowiadań przytoczę.

1. Owczarza z Girowej, Jurę, dosyć często w nocy przychodziła „dusić“ sotona i wypijała mu krew. Po takich nocach był tak zmęczony, że nogami zaplatać nie mógł. Jednego dnia zrobił manekina i na legowisku przykrył gunią, sam zaś ukrył się w koszorze między owcami. Sotona w nocy manekina roztargała, jednak do Jury już więcej nie przyszła.

2. Jano z Kikuli miał łóżko w chlewie pod powałą. Przychodziła go dusić sotona. Jednego razu obudził się i czuje coś ciężkiego na piersiach, szuka, znalazł igłę, wbił ją do powały. Rano dowiedział się, że Maryna na Szerokim się powiesiła.

3. Kuba z Wilczego kazał w nocy duszącej go sotonie przyjść na śniadanie. Rano Byrtuska z Jasnowic przyniosła mu kosz malin i prosiła o parę ziemniaków i trochę mleka dla chorej ciotki i nie odeszła, aż śniadanie otrzymała.

4. Tomek z Brzestowego wyszpiegował Hanę z Kościanowic, ku której chodził na zolyty, że często w nocy gdzieś uchodzi. Biegł raz za nią aż na Żurówkę, tam ujrzał ją, jodłę ściskającą. Zawołał ją po imieniu. Znalazł już jednak tylko martwe ciało przy drzewie, gdy tam doszedł. (Nie było wolno sotonę zawołać po imieniu.)

5. Chłopa Pawła z Bukowiny ssała sotona; przebudził się i ściągnął z piersi mokrą wstążkę; nim jednak skrzesał ognia, wstążka znikła i już tylko w szparze okna zdołał urwać z niej jedną nitkę; Marynie z Wołowej krowa palec urwała, gdy w nocy ją wiązała.

6. Sotona chodziła ku Pawłowi od Duraja. Raz przygotował sobie nóż, by ją przebić, tymczasem w nocy usnął, przyszła sotona i zabiła go.

7. Na sałaszu Siwoniowskim usłyszał bacza Francek śpiew hel w lesie; wybiegł na kolybę i patrzył przez szparę; przybyły

tam wkrótce dwie dziewczki; nie znalazły jednak nikogo; zaczęły same z sobą tańczyć po wiatrze aż do świtu.

8. Jano od Kohuta łapał w niedzielę raki i dawał do worka. Naraz wyciągnął z wody dużego raka. Potem już szedł do domu, a tu coś w miechu woła: „huhu, ja tu tu!“ Porzucił worek i uciekł. Gdy po chwili wrócił z kolegami, dużego raka już nie było. Lecz na Kohutowej Olzie od tego czasu w plosie nikt się kąpać nie odważy, bo ten rak-topielica harce tam każdą niedzielę wyprawiała i kilku śmiałków wraz z końmi się tam już potopiło. Później nawet drogę leśną, tamtędy prowadzącą, przebudowano, bo koło tego plosa nikt jechać nie chciał.

9. W Czadeczce pod mostkiem pierała baba w niedzielę w południe kabotki, a zapytana przez Tomka z Potoka, co tu robi, odpowiedziała, że pokutuje za grzechy. Prosiła jednak o wybawienie, obiecując worek pieniędzy. Chłop się zgodził, skoczył do wody, topielica znikła, a utopca już niejeden tam widział.

10. Pijany chłop szedł z muzyki od Klimka przez Losek do Kiepkka. Za Glinianym napadły go nocnice, po wszystkich Gazurowskich potokach go posmykały i zaprowadziły pod żłób do chlewa, gdzie go rano znalazł parobek zdrapanego i nieprzytomnego.

11. W Żorze nad Olzą pasał Tomek od Miki barany. Raz przyszły ku niemu dwie dziewczki i prosiły, by z niemi tańczył. Tomek się zgodził; gdy się jedna zmęczyła, druga go porwała i tak tańczyły z nim trzy dni. Gdy już miał nogi po kolana zdarte, zrzuciły go z wysokiego brzegu do wody. Niejeden już góral widział tam w brzegu człowieka bez nóg.

12. Paweł od Haratyka raz w „Jedlinkach“ zbierał w niedzielę grzyby; naraz ujrzał pod smrekiem piękną dziewczkę o długich włosach rozpuszczonych i czeszących je szyszką, śpiewającą różne bojtki istebniańskie. Domyślił się heli; jako mądry chłop, prędko obrócił koszulę, galaty i

czopkę „naręby“. Hela go ujrzała, skoczyła ku niemu i ponieważ jeszcze fajki nie miał „naręby“, zadusiła go tam i od tego czasu w „Jedliczkach“ straszy.

Paweł Zawada.

Jaworzynka, w maju 1932.

ŁODPUST NA BISKUPICACH.

Łodpust na Biskupicach przypado w czyrwcu prawie w niedziela. U nos w Zaborzu pogodaliśmy sie, iż pójndziemy tysz na ton łodpust.

I czekomy niedzieli.

W niedziela rano miol jedyn drugigo budzić. I naprowda tak tysz boło. W niedziela o pionty rano gruchnoł kieryś kamieniem w łokno, a kiej moja najstarszo siostra szła łobejżec ktoby to boł, widzi Zeflika i Franca od somsiodof. Łoba łoni w niedzielnych jancugach, w sznuptychli majom po koncku chlyba, i pora czeskich a jejich szczewiki naszmarowane łojem, coby jem sie lepi szło. Kiedy Haźbieta słyszy: „hyzej, hyzej sie Haźbieto, bo jusz je czas“, wygania nas drap z łozek. My tysz sie gibko łopluskomy wodom, wy-ciomgomy nasze wyszkrobione, biote łachy, bierymy kraiczek chlyba do chustki i lecymy na doł, a stond ku Boży Mence, kaj my sie mioli zbiyrać. Jakeśmy przyszli, to chcemy śpiywać do św. Jana, a tu naroz widzimy, iżmy zapomli ksionszki. Gibko więc Ojena leci nazod po ksionszki. Juzaśmy musieli czekać na nia, a kiej na końcu przyszła, widzimy, iż procesyj, z kiera my mieli ponść, już nie boło. Więc my gibko sie za niom uwijomy a dopadli my jom dziepiro na poł drodze do Biskupic. Jakmy wleźli do Biskupic, zaro idymy z procesyjom do kościoła, kaj nos farosz pieknie powitali. Potym zaro boła Mszo, a iż boła tako ciżba i parno w kościele, wyszlimy na kierhof, kaj my czekali do końca Mszy. Po Mszy Zefli lecioł po krupniki na rozpust, coby my mogli zjeść śnio-

danie. Potym my wszyjscy idymy na rozpust. Boło tam, aż trzy karasole i jedna huśtofka. Pojechali my sie tysz na karasolu i nakupili tyż piernikof do tych,co zostali doma. Boł jeszcze po połedniu niyszpor, a potym zabiromy sie do domu. Bo nos nogi bolom sebuwomy szczewiki i idymy boso do domu. Kiedy tak idymy i śpiywomy, naroz wielgie larmo, wojtof Hanys wlecioł do przykopy i zmazoł cały niedzielny jancug, co go boł łod łojca pożyczoł. Boł sie teraz Hanys fest i cało droga pucowoł jancug, by go łociec nie zeproł. Jakeśmy jusz byli niedaleko Zaborza, kole barzołof, to spotkali my naszo procesyjo, kiero nom wyszła naprzeciwno. Zaroż na poczontku powitanio słyszimy klask i wojta głos: „Hanys, kajsty mycka zostawił, a coś z jancugiem zrobił?! Ty huncfocie, jo ci pokoża jak masz na swoje łachy dboć!“ Na chwilka sie wojt udobru-chali, bomy weszli do kościoła po błogosławieństwo. Ale kiej my późno wieczor jeszcze przechodzimy kole chałupy wojta, słysząc jak łoni sie babie uskorżali: Tílo-mejno, jo ta czpka i łon jancug przez pietnoście lot nosił i w łoński tydzień go jeszcze wypucowoł, a tyn gałgon roz to wzionł na łodpust, i jusz to djobli wzienli. Ale jo mu pokoża, jo mu pokoża...

Opowiadała Gertruda Królowa, lat 44, urodzona w Zaborzu, powiat Zabrze, Śląsk Opolski, mieszkająca od 1910 r. w Hajdukach, spisała Magdalena Królowna, uczennica klasy VI a miejsciego gimnazjum żeńskiego w Król. Hucie.

NA GRUBIE.

Jak mi było 29 lot, toch jesce robiył na Florentinie za chajera. Miołech na noc. Chodziylimy z kolegom do szramu. Roz przisłimy jak zwyczajnie na gruba, sjechalimy na doł, zaplimy kapa i dalimy sie do kopanio. Moj kolega niy mog dzisioj kopać, bo go kciuk boloł i poszoł do dom. Kopia tak som ze dwie godziny i wroz słysa, ize koń leci. Niy łogłondom sie ino

słychać jako trzasko kopytami po sztyngach. Przeszedł fort wele mnie, aż na koniec glajzu. Postoła chwila, łobrocil się i polecioł nazod. Za jakie 5 minut leci drugi roz. Teraz mie juz strach zebroł. Niy łoglon-dom sie jesce ino pocierz żykom, a kopia coroz to barzi. Koń zaś przilecioł, postoła i uciyk nazod. Polecioł aż na oniec sztreki. Zaś sie łobrocil i leci trzeci roz. Jo żykom pocierz dali, kopia aż sie leje ze mnie, a ze strachu, toch już cały struchlały. Jak polecioł trzeci roz, toch pociep kilof, wzion karbitka i uciekom wiela ino wykopać umia. Poszołech do kolegów, co robiyli na drugi sztrece i tam przesiedziołech do rana. Niy wiyim jeśli to był koń,

abo co inksze, boch niy mioł odwagi sie łobrocic.

Opowiadał Tomasz Jonek, lat 61, pochodzący z Łagiewnik, pow. Świętochłowice, spisała Franciszka Jonkówna, lat 16, uczennica VI klasy żeńskiego gimnazjum miejskiego w Król.-Hucie.

WOLNO SZTELA.

W Szombiyrkach, na końcu wsi, jest kaplicka, a za niom wielki stow. Tam był roz utoplec, ale łon sie łozyniyl i wiency we stawie niy może miyszać, bo jego baba niy chce. Teraz ta sztela za utopca jest wolno i fto chce, tyn sie może tam zameldować, ale musi być samotny.

F. Jonkówna.

R E C E N Z J E.

UDZIAŁ ŚLĄSKA W LITERATURZE CZESKIEJ.

W „Publikacjach Slawistycznego Kółka Pracy na Uniwersytecie Niemieckim w Pradze“ („Veröffentlichungen der Slavistischen Arbeitsgemeinschaft an d. Deutschen Universität in Prag“), wydawanych przez profesorów dra Franciszka Spinę i dra Gerharda Gesemanna, wyszedł nowy, siódmy tom, zatytułowany „Tschechische und slowakische Studien“, wydany pod redakcją docenta dra Ferdynanda Liewehra, Reichenberg 1930, Verlag Gebrüder Steeper, Ges. m. b. H., 8-ka, str. 259 + 3 nlb.

W książce tej zasługuje na szczególną uwagę obszerna rozprawa Erwina Streita, zatytułowana „Udział Śląska w literaturze czeskiej“ (Der Anteil Schlesiens an der tschechischen Literatur“). Praca ta wyczerpuje w znakomity, ściśle naukowy sposób swój program, dając całokształt życia umysłowego Czechów śląskich od początków ich piśmiennictwa aż do czasów powojennych.

Autor uwzględnia wszystkie osobistości literackie, które łączył jakiś stosunek ze

Śląskiem, a więc pisarzy, którzy się tylko na Śląsku urodzili, lecz pracowali poza nim, a również takich, którzy przybyli na Śląsk, poświęcili mu wszystkie swoje siły i zdolności, względnie wzięli za temat dla swych dzieł stosunki śląskie. Czasem przekracza granice polityczne Śląska, zaliczając do niego całe tak zwane „české Slezsko“, jakim widział je Bezruč.

Pierwszym znanym pisarzem 13 w., pochodzącym ze Śląska, jest Marcin Polák (Martinus Polonus albo Bohemus, też Strepus) z Opawy. Był dominikaninem i żył długi czas w Rzymie, ciesząc się łaską ośmiu papieży z rzędu. Z polecenia papieża Klemensa V napisał po łacinie historję papieży i cesarzy rzymskich jako podręcznik dla duchownych. W roku 1278 został wyświęcony na biskupa gnieźnińskiego, lecz w drodze do Gniezna umarł. Napisał jeszcze inne dzieła łacińskie. Jego kronika ma też pośrednio znaczenie dla literatury czeskiej, bo z niej czerpał Beneš z Hořovic († 1420), pisząc czeską kronikę aż do śmierci Karola IV (1378) p. t. „Martimiani aneb jakž někteří říekají Římská kronika“.

Na dworze Karola IV żył również Ślązak, Jan ze Středy (Johannes Noviforensis), biskup w Litomyślu, później w Ołomuńcu, który przyniósł prąd humanizmu na Śląsk. Jest autorem 15 dzieł treści teologicznej, prawniczej i historycznej.

Na progu piśmiennictwa czeskiego na Śląsku stoi tak zwany „Sekvencionář“; jest to tłumaczenie hymnów kościelnych. Autorem jego jest magister Konrād z Benešova (koło Hulczyna). Spotykamy go w latach od 1370 do 1397 r. na uniwersytecie w Pradze. Dziełko to jest źródłem dla poznania narzecza opawskiego w 14 wieku. Poniekąd dalszym ciągiem tego „Sekvencionářa“ jest rękopis z 15 w., znajdujący się w bibliotece muzealnej w Opawie. Autor nieznan.

U tych i innych pisarzy, którym autor pracy poświęca mniej lub więcej obszernie uwagi (Jan z Opawy, Mikołaj z Kozli(ho), który zbierał pieśni religijne i świeckie, podobnie jak Mikołaj z Uvalna, Matěj Korambus, Jan z Hlivice), nie można jeszcze mówić o jakimś specyficznym znamieniu śląskiem. To zmienia się dopiero u późniejszych pisarzy śląsko-czeskich.

Od roku 1426 język czeski stał się językiem urzędowym prawa ziemskiego opawskiego i karniowskiego, a nawet tak zw. tabule krajowe pisze się tu po czesku, o 60 lat wcześniej niż w Czechach. W Księstwie Cieszyńskim język czeski został zaprowadzony do urzędów w 1440 roku (język polski został zaprowadzony w sądzie w roku 1592). Podczas gdy zabytki te z opawskiego są napisane poprawnym językiem, odnośnie zabytki z Księstwa Cieszyńskiego zdradzają w nazwach miejscowości oraz w pojedynczych wyrazach wpływy polskie.

Właściwe rozbudzenie życia literackiego na Śląsku spowodowała reformacja. W tej walce umysłów słowo staje się najsilniejszym orężem. Pojawiają się przede wszystkim paszkwile.

Reformacji zawdzięczają Czesi śląscy dzieło Marcina Philadelphusa Zamrscenu-

na (Zámrského) (1550—1592), kaznodziei czeskiego w Opawie. Jest on pierwszym narodowo-uświadomionym pisarzem. Dziełem jego życia jest „Postilla evangelitská výkladové na evangelia nedělní a svateční“, (drukowana pomimo trudności ze strony biskupa ołomunieckiego Stanisława Pavlovskiego po raz pierwszy w r. 1592). Jest to najobszerniejsze oraz najcenniejsze dzieło wśród ówczesnych postyl luterskich.

W porównaniu z Zamrskim błędą wszyscy inni śląscy literaci 16 wieku. Najszczytniejsze miejsce wśród nich zajmuje Mikołaj Albrecht z Kaménka, który pracował nad pierwszą częścią „biblii Kralickiej“ oraz „Silva quadrilinguis“ Veleoslavína. Oprócz tego jest autorem małego dziełka: „Intimatio paedagogii acad. trilinguis trivii.“

Z reformacji wyrosła również czynność literacka Adama (Amanda) Polana z Polansdorfu (ur. 1561 w Opawie). Był kalwinem i pierwszym wielkim dogmatykiem Kościoła reformowanego. Amand jest autorem dzieł teologiczn., które wyszły w latach od 1590 do 1610 r. w Bazylei, w głównej części po łacinie. Jego dzieło „Gemula partitionum theologiarum“ przetłumaczył nieznan tłumacz do języka czeskiego.

W drugiej połowie 16 w. wydał Śląsk mężów, którzy nie dorównują wprawdzie Zámrskiemu, Kaménkowi i Polanowi, ale zato działali dużo w służbie reformacji. Najstarszym z nich był Jan Jirek ze Świdnicy, Brat Czeski, ur. na początku 16 w., umarł 1562. W roku 1548 musiał opuścić kraj. Pozostawił po sobie mało rzeczy pisanych. Ze Śląska pochodził również Stěpán Třebnický, autor tak zwanego „Vyznání pětíměstského“ oraz „Pan Donát“, autor dwu pieśni ewangelickich, umieszczonych w kancjonale, drukowanym w roku 1561 w Szamotułach. Burian Sobek z Kornic przetłumaczył kronikę światową Kariona do języka czeskiego i napisał kronikę Braci Czeskich i Morawskich. Jan Zahrobský z

Cieszyna (Těšina), magister w Pradze, napisał dramat biblijny p. t. „Heli“.

W ruchu religijnym pod koniec 16 w. brał udział również katolik. Oprócz swej po części czeskiej korespondencji nie zostawił wprawdzie nic dla literatury czeskiej, lecz miał dla ówczesnego życia umysłowego na Śląsku wielkie znaczenie, gdyż zapoczątkował ruch kontrreformacyjny, tak zgubny dla Czechów śląskich. Był to Stanisław II Pavlovský z Pavlovic (koło Pszczyny), najznakomitszy biskup ołomuński w 16 w. (1579—1598). Jego znaczenie w historii kościelnej Moraw i Śląska jest wielkie. Także jako polityk i dyplomata wybijał się ponad wszystkich współczesnych (był cztery razy z poselstwem cesarza w Polsce). Jego korespondencja jest bardzo obfita.

Więcej jednak niż prace literackie dowodzą zabytki piśmiennictwa z życia codziennego i publicznego, jak bardzo wzmażał się język czeski na Śląsku, odkąd stał się językiem urzędowym. Najstojniejszym zabytkiem tego rodzaju jest księga praw księcia cieszyńskiego Waclawa Adama (1545—1579) p. t. „Prawa a zřízení zemské kniezetstwij Tiessinskeho“, która została przyjęta przez stany dopiero po śmierci Waclawa Adama. W druku wyszła w roku 1592.

Również dwa zabytki literatury historycznej z tego okresu są znane. Oprócz tego kilka zabytków literatury kalendrzowej.

Rzucając okiem wstecz na opisany właśnie okres twórczości literackiej Czechów śląskich, musimy zauważyć, że przedstawia się nam znany obraz 16 w.: jest to okres panowania piśmiennictwa religijnego, wobec którego ustępuje literatura świecka; księgi prawne stanowią może jedyny wyjątek. Pozatem całe życie umysłowe ma na sobie ciągle jeszcze piętno humanizmu.

Żaden z pisarzy omówionej epoki nie doczekał się bitwy na Białej Górze (1620),

wskutek której katolicyzm zwyciężył zupełnie. Nastąpiły dla niekatolików czasy ucisku, wymagające ludzi energicznych i silnych. W Księstwie Cieszyńskim dążności kontrreformacyjne nie były tak srogie jak w innych krajach czeskich, bo szlachta broniła się tu długo; lecz po ukończeniu wojny trzydziestoletniej rozpoczęło się ponowne nawracanie na katolicyzm.

W tych burzliwych czasach znaleźli się wśród niekatolickich Ślązaków mężowie, którzy całą duszą oddali się pracy religijnej. Z nich Frýdecký, Skočovský a przede wszystkim Tránovský zasłynęli najwięcej.

Jerzy Joanides Frýdecký żył na Morawach, lecz z powodu prześladowań schronił się na Śląsku Ciesz. (w Ropiczy i Końskie). Podczas tego pobytu wydał rymowane „Modlitby křestanské...“ nakładem burmistrza cieszyńskiego Andrysa Wilda. Ze Śląska udał się Frýdecký na Słowaczną, gdzie napisał jeszcze dwa dzieła.

Daniel Joanides Skočovský (ze Skoczowa) był od r. 1606 do 1634 kapłanem Braci w Parszowicach i w Hlinsku. Wydał trzy zbiory kazań oraz „Opis ognia w Lipniku“ („Popis ohně v Lipníku“) wierszem.

Najpopularniejszym pisarzem na Śląsku stał się Jerzy Trzanowski (Jíří, Jura Tránovský, Tranoscius), pochodzący z Trzanowic*) koło Cieszyna (ur. 1591),

*) Autor mylnie podaje miejsce urodzenia Trzanowskiego, wymieniając Trzanowice. Wynika z tego, że nie zna jego zbioru hymnów łacińskich (Odarum Sacrarum, Brzeg 1629), zawierającego autobiografię. Dowiadujemy się z niej, że Trzanowski urodził się w 1591 r. w Cieszynie na Starym Targu, jako syn kowala, którego przodkowie pochodzili z Trzanowic i pochodzeniu swemu zawdzięczali rodowe nazwisko. Wymienione dziełko Trzanowskiego należy do wielkich rzadkości. Zob.: Wiktor Karger, Nieznany portret Jerzego Trzanowskiego (Tranosciusa), zwanego „słowiańskim Lutrem“, Zaranie śląskie, 1931, str. 156 i nast.

który zyskał sobie miano „słowiańskiego Lutra“. Przedewszystkiem jego kancjonał (pierwszy ewangelicki w języku czeskim) p. t. Cithara Sanctorum, Pysně duchowny Stare i Nowe i t. d. k nimž přidaný saũ Písň D. M. Luthera wsecky z Neměcke Řeči do nassi slowanske přeložene“ był powszechnie znanym i używanym aż do niedawnych czasów również przez ludność polską Księstwa Cieszyńskiego. Pierwsze wydanie z r. 1635 zawiera w obie 400 pieśni, z tego 150 własnych utworów Trzanoskiego. Tu znajduje się również 10 pieśni religijnych Adama Plintovica ze Skoczowa, który około r. 1650 był organistą w Żylinie na Słowacyzynie. Popularną książką jego było „Dvanáctero přemýšlování duchovních“, zawierających przesłiczne modlitwy; mniej znanym jest jego wiersz, napisany z powodu zaćmienia słońca dnia 4 listopada 1668 r. Ślązak Petr Weykert z Karniowa napisał czeską książkę weterynarską.

Po bitwie na Białej Górze nastąpił zwrot w kierunku narodowym i religijnym. Język czeski był prześladowany. To, że język czeski nie poszedł w zapomnienie, zawdzięczają Czesi w głównej mierze narodowo świadomionej szlachcie, która często sama pisała. Właściciel Wielkich Kończyc i Kaczyc, Fryderyk Jerzy Vlček, przetłumaczył ewangelicką postylę Jana Hermana w 1654 r. do języka czeskiego.

Szlachta śląska wznowiła również stare kodeksy praw. Najważniejszym z nich jest „Opis Knihy Tovačovské“. Książka ta była własnością Jerzego Fryderyka Skrbenskigo. Brakującą część środkową książki uzupełnił prawdopodobnie sam właściciel.

Za panowania Leopolda I przeprowadzali jezuiti kontrreformację. Na Śląsk Cieszyński przyszli oni dopiero w r. 1670. Rozpoczęło się rozpowszechnianie literatury katolicko-religijnej. Początkowo jezuiti zwalczali literaturę czeską; lecz niezadługo poznali wartość języka ludowego. Jako najlepszy dokument ówczesnych sto-

sunków w okręgu cieszyńskim może posłużyć książka p. t. „Berla královská Jezu Krysta“ jezuita Daniela Nitscha (ur. 1651 w Pradze, um. 1709), superjora i prefekta gimnazjum cieszyńskiego. Książka ta zapoznaje nas z życiem umysłowym i metodami owych burzliwych czasów. Typowe dla wszystkich dzieł tego rodzaju jest przeładowanie, przesada i szukanie tanich efektów. Miejscami Nitsch staje się w swych wywodach niesmacznym, trywjalnym.

Wszyscy mężowie tych czasów mają na sobie piętno zwycięskiej kontrreformacji, a ich dzieła należą najwyżej do jakiejś bibliografii. Dla zupełności przytacza autor głównych przedstawicieli.

Najpłodniejszym pisarzem wśród katolickich reformatorów był Frydeczanin Bohumír Kristián Hiršmencel. Napisał ogółem 48 dzieł, z tego jednak tylko jedno po czesku, resztę po łacinie. Był szczególnym czcicielem świętych Cyryla i Metodjusza.

Typowymi przedstawicielami katolickiej kontrreformacji są dwaj kaznodzieje i pisarze 18 w.: Jestřabský i Bílovský. Walencin Bernard Jestřabský pochodził z Mor. Ostrawy. Jego dziełko „Vidění rozličné sedláčka sprostného“ stało się książką ludową.

Jezuita Bohumír Ignacy Bílovský z Hulczyna (um. 1725) był po Hiršmencelu najpilniejszym pisarzem. Jego kazania, ni by przedstawienia teatralne, były atrakcją dla całej okolicy. W zbiorach swych kazań wyczerpał wszystkie tematy na cały rok kościelny.

Literaturę niekatolicką rozpowszechniano w owych czasach poza krajem wśród wychodźców. Wzorem gorliwego protektora niekatolickiej literatury i zawziętego wroga prawowiernego luteranizmu był Jan Liberda (ur. 1701 r. w Cieszynie, umarł 1742 r.). Wielki rozruch spowodowała jego książka „Klíč Davidův k otevření pokladu království božího v tajemství skrytých“ (1725).

Wacław Kleych drukował w Zittau czeskie książki, które rozdawał podczas swych podróży w Czechach, na Morawach, na Śląsku i na Węgrzech. Sprzedawał też książki ewang. na cmentarzu koło kościoła ewangelickiego w Cieszynie, skąd rozeszło się dużo egzemplarzy jego kanjonu i innych dziełek.

W onych czasach zanikał język czeski coraz bardziej. Szlachta i mieszczaństwo zniemczyły się, a lud wiejski nie miał żadnego znaczenia. Oprócz modlitewników, kalendarzy i różnych okólników, książki czeskie na Śląsku ukazywały się tylko wyjątkowo. Pierwsze dzieła naukowe o Śląsku napisane są po niemiecku (Topografia Śląska Kneiffa, „Wiadomości o pisarzach i artystach z Księstwa Cieszyńskiego“ Szerznika i i.).

Po czesku napisał dziełko popularne o leczeniu bydła lekarz okręgowy w Cieszynie Józef Alojzy Pop. Pojawiają się też podręczniki nauki języka niemieckiego (Franc. Kohuta i Józefa Nowaka, drugiego nauczyciela w szkole głównej w Cieszynie, założyciela pierwszej szkoły dla dziewcząt).

Potem przez długie lata nie ukazało się na Śląsku żadne dzieło czeskie, prócz zeszytu deklamacyj dla młodzieży, który wyszedł w Opawie 1818 r. Autorem jego był Jan Alojzy Zabranský.

W kraju pruskich Morawców pracował nad zachowaniem narodowości słowiańskiej ksiądz katolicki Cyprian Lelek z Beneszowa koło Hulczyna (1812-1883). Zajmował się głównie nauczaniem i w tym celu wydał „Slabikář“, który był dla dzieci pruskich pierwszą czytanką, i „Opis Slezska“. Przygotowywał do druku również „Pravopis český pro slezské Moravany“, lecz wzmożona od r. 1870 germanizacja unicestwiła jego próby uświadamiania ludu. Nie powiodło mu się także założenie pierwszego czeskiego czasopisma na Śląsku „Holubice“. Wyszedł tylko jeden numer w Raciborzu. Swoje „Listy“ publikował w „Tygodniku opawskim“.

Rok 1848 nie przyniósł dla Czechów na Śląsku żadnych ważniejszych zmian, aczkolwiek nie przeszedł bez śladu: owocami tego roku rewolucyjnego był czeski tekst na rozporządzeniach rządowych, przetłumaczenie praw dla Śląska, zaprowadzenie języka czeskiego w gimnazjum opawskim i cieszyńskim. Lecz nawet w miastach nie można wówczas mówić o jakimś ruchu politycznym Czechów. Każdą próbę wydawania gazety tłumiono w zarodku. Podczas gdy Polacy śląscy wołali pod wpływem roku 1848 za połączeniem z Macierzą i założyli pierwszą gazetę, Czesi musieli czekać na podobny czyn więcej niż 10 lat. Dopiero po roku 1860 nastąpiły lepsze stosunki. Prezydentem krajowym był wtedy hrabia Ludwik Belcredi. Zaraz też rozpoczęto ze strony czeskiej żywą czynność narodową. Przewodniczyli jej profesorowie gimnazjum opawskiego z dyrektorem dr. Maciejem Kawką na czele.

Układano książki szkolne, zbierano pieśni ludowe i bajki. Dnia 1 marca 1861 r. wyszedł w Opawie pierwszy numer czasopisma czeskiego, drukowanego szwabachą, p. t. „Opavský Besedník“, które stało się niebawem gazetą ludową na Śląsku i na Morawach; lecz po pięciu latach borykania się z trudnościami, musiano je zwinąć. Redaktorem, wydawcą i nakładcą był Antoni Vašek (1829—1880) z Háju koło Opawy, profesor gimnazjum opawskiego, najznakomitszy przedstawiciel polityczno-narodowych dążeń Czechów w owych czasach. Nie był on jednak ślepym fanatykiem. On pierwszy udowodnił na podstawie badań filologicznych, że rękopisy, które pono znalazł Hanka, są falsyfikatami. Z powodu tego traktowano go jako odszczępieńca narodowego, a dopiero Masaryk wykazał, że Vašek miał rację.

Współpracownikami Vaška w wydawnictwie „Besednika“ byli: Jan Lepař, piszący artykuły historyczne, Jaromír Březanovský (Jan Šrámek), autor sielankowych powiastek i wierszy, Ed. Vrána, o-

raz Em. Klem. Sahánek, posiadający znaczny talent literacki.

Dopiero w r. 1870 powstało nowe pismo „Opavský Týdeník“. Redaktorem był suplent niemieckiej szkoły realnej w Opawie, Jan Zaczal z Hostkovic. Współpracownikiem, piszącym rozprawy historyczne, był Wincenty Prasek, który niemal przez pół wieku decydował o dążeniach kulturalnych Czechów śląskich. Był rodowitym Ślązakiem (1843—1912). Przyczynił się do założenia „Maticy Opavskiej“. Powziął zamiar napisania dzieła obszernego z zakresu historii Śląska pt. „Vlastivěda Slezska“, którego jednak nie ukończył. Pierwszą częścią tego dzieła były „Podání lidu“ (1888 r.). Jest to antologja śląskiej literatury ludowej. Następne tomy traktują o historii i topografii Śląska. „Historická topografie země Opavské“ (1889) jest punktem kulminacyjnym w twórczości Praska. Uzupełnił tę pracę w następnych tomach: „Dějiny kraje Holasovského čili Opavského“ i „Dějiny knížetství Těšínského do r. 1433“ oraz „Rodáci z Opavska a z Frýdecka“. Pisanie tych książek nie wpływało tyle z zainteresowania naukowego, ile z dążenia do uświadomienia narodowego ludu śląsko-czeskiego. (Prasek był z zawodu filologiem i wydał kilka dzieł z tego zakresu.)

Bardziej skoncentrowaną oraz głębszą, niż czynność Praska, była praca naukowa Józefa Zukala. Zbadał on dokładnie materiał archiwalny Opawy i na podstawie tych studjów pisał swe dzieła. Był jednym z głównych współpracowników „Věstníka Maticy Opavské“.

Franciszek Sláma (1850—1917) jest obok Vaška najpiękniejszym przykładem naprawdę ludowego pisarza i budziela narodowego. Sláma nie pochodził ze Śląska, lecz podczas swego 17-letniego pobytu na Śląsku, ziemia ta stała się dlań drugą ojczyzną. Zbadał archiwa cieszyńskie, a owocem tych badań jest główne jego dzieło „Vlastenecké putování po Slezsku“,

które przetłumaczono na język polski i niemiecki. Pisał popularne szkice historyczne w formie powieści. Pierwszą taką powieścią jest „Pán Lysé Hory“ (1890), punkt wyjścia niemal wszystkich późniejszych opracowań postaci bohatera narodowego, zbójnika śląskiego Ondraszka.

Na wzór Slámy, który w służbie uświadamiania narodowego ludu rozpoczął działalność na polu historii, etnografii i beletrystyki, zaczęli swoją pracę inni narodowi działacze czescy.

W „Věstniku Maticy Opavské“ pokazał się szereg znakomitych rozpraw naukowych. Duszą tego czasopisma był po Prasku Waclaw Hauer, który pisał rozprawy literackie, etnograficzne i dialektologiczne. Józef Stypa zestawiał spis czeskich pisarzy ze Śląska do końca 18 w. Wśród innych współpracowników naukowych wymienić należy Roberta Parmę z Frysztatu, Antoniego Landsfelda, profesora w Cieszynie, M. Pavlika, Antoniego Otahala i Piotra Tesařa.

Broni naukowej w walce politycznej dostarczał Czechom śląskim profesor uniwersytetu praskiego J. U. Dr Jan Kapras. Jest to wogóle okres gorączkowej pracy naukowej i narodowej na Śląsku i nie sposób wymienić tutaj wszystkich przedstawicieli.

Powieść historyczną uprawiał na wzór Slámy Józef F. Karas, nowele pisał Ignát Hořica. Nędzę ludu w Beskidach przedstawiła Mária Ostravická-Skotnicová, Míla Liscová-Nováková napisała prócz szkiców z zagłębia węglowego śliczną sztukę dla dzieci „V karvínském lese“ (1917).

Tematy z zagłębia czerpią Antoni Hořinek, Franc. Volný (właściwie Ot. Skýpala) oraz Karel Handzel (ur. 1885 w M. Ostrawie), który kreśli zajmujące szkice z życia górników, przedstawiając prawdziwy typ robotnika ostrawskiego.

Najlepszy i najobszerniejszy obraz stonków narodowych i socjalnych w morawsko-śląskiem centrum przemysłowym

dają literacko wysoko stojące utwory Franciszka Sokola-Tůmy (1856—1925), dla którego kraj ostrawski stał się drugą ojczyzną. Był niezmiernie płodnym pisarzem. Z zawodu był aktorem, to też w jego dziełach przebijają momenty dramatyczne. Pisał powieści i dramaty, osnute na tle życia górników i górali. Nie uznaje on hasła „sztuka dla sztuki“; jego dzieła mają tendencję oswobodzenia politycznego narodu czeskiego. W tym duchu pomyślaną jest trylogia powieściowa „Czarne królestwo“ (Černé království: „Na šachte“ 1906, „Pán závodní“ 1909, „V záři milionů“ 1923). W pięciutomowej powieści „Na kresách“ przedstawia autor wieś koło Cieszyna, w której naród czeski broni się przeciwko (rzekomej) polonizacji w trudnej, beznadziejnej walce. Najlepszym dramatem Sokola-Tůmy są „Gorali“. Właściwym bohaterem powieści Tůmy jest zawsze lud pospolity, z którego wyłania się jednostka silna, prowadząca naród po drogach romantycznych do wyżyn doskonałości.

W poezji śląsko-czeskiej, w liryce, panuje długi zastój, a potem jednostajność i monotoność. Są to przeważnie skargi na nędzę narodową i socjalną ludu, nadzieja, że przyjdzie piękniejsze życie, oraz bolesne wspomnienia wielkiej przeszłości, z której czerpią swoje tematy wszyscy poeci śląsko-czescy.

Wśród nich zajmuje przodujące miejsce Wincenty Ostravický, właściwie Antoni Hüttler (ur. 1869 we Frydku, z zawodu kowal, później urzędnik kolejowy, wyjechał w r. 1906 do Ameryki, gdzie umarł w 1912 r.). Jego wiersze wyróżniają się z pośród innych tem, że są o wiele subtelniejsze i miłsze. Ciekawem jest, że u tego autodydakta można napotkać więcej obcych wpływów, niż u innych poetów tego okresu. Najdojrzałym utworem Ostravického jest „Písen o Ondrášovi“ (1903).

Tu należy również M. Kurt (Dr. Maxm. Kunert) z paru wierszami, kreślą-

cymi szaremi barwami niewolę gospodarczą i narodową w zagłębiu ostrawsko-karwińskim. Podobne tony wydobywa samouk L. K. Karvínský (Lev Kazík) w swych śpiewach górniczych. Należy też tu słaba książeczka „Echo chaty śląskiej“ („Ohlas slezské chalupy“ 1912 pseudonim Totěf.) Najstynniejszym wśród śląskich poetów, piszących w narzeczu, jest Ernest Chamrad z Hrabynie.

Wysoko ponad czysto-ludową poezją owych czasów, powtarzającą stare pieśni ludowe i nawpół zapomniane baśnie ludowe, góruje dzieło poety, z powodu którego literatura czeška po raz pierwszy wymienia Śląsk, zapewniając mu miejsce honorowe na zawsze. Jest to szczupły tomik poezyj „Slezké číslo“, albo jak brzmi późniejszy tytuł, „Slezské písně“ (1903). Autorem jego jest Petr Bezruč. Mała ta książeczka należy do najsilniejszych zjawisk czeskiej poezji wogóle, a w każdym razie odmłodzonej przez Machara liryki politycznej. Zwłaszcza dla Śląska ma dzieło Bezruča wielkie znaczenie: po raz pierwszy naród czeski, a właściwie cały świat dowiadyuje się o straszliwej nędzy robotników i rolników wymierającego czeskiego pokolenia na granicy językowej polsko-czeskiej (czy rzeczywiście tak było, nie chcemy osądzać).

Petr Bezruč jest starannie ukrywanym przez 10 lat pseudonimem Vladimíra Vaška, syna Antoniego Vaška, założyciela „Opaského Besednika“. Vladimír Vašek urodził się 15 września 1867 r., do niedawna był urzędnikiem na poczcie dworcowej w Bernie. Temu poecie śląsko-czeskiemu par excellence poświęca autor ostatnią, najobszerniejszą analizę-gloryfikację.

Podaję tu w krótkich zarysach treść rozprawy Erwina Streita, która oczywiście nie może zastąpić owej watościowej pracy. Sądzę jednak, że daje ona jakie takie wyobrażenie o życiu umysłowym Czechów na Śląsku.

Engelbert Wadowski.

JAK JA SIĘ CZUJE

Kiedy ktoś zapyta, jak ja się dziś czuję,
Grzecznie mu odpowiem, że dobrze, dziękuję,
To, że mam artretyzm, to jeszcze nie wszystko,
Astma, serce mi dokucza i mówię z zadyszką.
Puls słaby, krew moja w cholesterol bogata,
Lecz dobrze się czuję, jak na swoje lata.

Bez laseczki teraz, chodzić już nie mogę,
Choć zawsze wybieram najłatwiejszą drogę,
W nocy, przez bezsenność, bardzo się morduję,
Ale przyjdzie ranek... Znów dobrze się czuję.
Mam zawroty głowy, pamięć figle płata,
Lecz dobrze się czuję, jak na swoje lata.

Z wierszyka mojego, ten sens się wywodzi,
Że kiedy starość i niemoc przychodzi,
to lepiej się godzić ze strzykaniem kości,
I nie opowiadać o swojej starości /słabości/,
Zaciskając zęby, z tym losem się pogódź,
I wszystkich wokoło chorobami nie nudź.

Powiadają, "Starość okresem jest złotym",
Kiedy spać się kładę, zawsze myślę o tym,
"Uszy" mam w pudełku, zęby w wodzie studzę,
"Oczy" na stoliku, zanim się obudzę.
Jeszcze przed zaśnięciem, ta myśl mnie nurtuje,
Czy to wszystkie części, które się wyjmuję.

Za czasów młodości - mówię bez przesady,
Łatwe były biegi, skłony i przysiady.
W średnim wieku jeszcze tyle sił zostało,
Żeby bez zmęczenia przetańczyć noc całą.
A teraz na starość czasy się zmieniły.
Spacerkiem do sklepu, z powrotem - bez siły.

Dobra rada dla tych, którzy się starzeją,
Niech zacisną zęby i z życia się śmieją.
Kiedy wstaną rano - części pozbierają.
Niech rubrykę zgonów w prasie przeczytają.
Jeśli ich nazwiska tam nie figurują,
To znaczy, że ZDROWI i DOBRZE SIĘ CZUJĄ

W R.P.
b. WIĘZNIÓW POLITYCZNYCH

1 ks.
Jan Łazowski
Por. rez. Jan Łazowski